

TYGODNIK LITERACKI

Nr 5 (20) ■ Rok II ■ 3 LUTEGO 1991
ISSN 0867-1257 ■ Nr indeksu 379689 ■ Cena 2500 zł

BALTYN, BOLECKI, BRADECKI, KNITTEL, KOWALCZYKOWA, LEOPOLITA,
MAZUREK, RILKE, RUTKOWSKI, SENDECKI, STALA, TAZBIR, ZIELIŃSKI

Jerzy Tchorzewski

Nawróceni i odwrócenia...

(fragment wspomnień)



Juliusz Krajewski. Nadanie chłopom ziemi. Olej. (Fragment)

Z ogromnym zdumieniem wspominam obecnie atmosferę niezwykłego podniecenia, która towarzyszyła tym ponurym imprezom, jakimi były Ogólnopolskie Wystawy Plastyki w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. I to podniecenie wcale nie było ponure. Namiętności rozpały się w miarę zbliżania się terminu jury, a w trakcie przyznawania nagród i podczas dyskusji, trwających bodajże trzy dni na tych socrealistycznych salonach, dochodziły do stanu wrzenia. Jakież to było ważne, kto dostanie nagrodę, wyróżnienie, komu ministerstwo zakupi obraz, kogo pochwałą, kogo zganią itp. Obecnie trudno to zrozumieć. O te gwiazdki na artystycznych epoletach walczyli ze sobą poszczególni artyści, walczyły całe środowiska. Na przykład środowisko sopockie było bardzo aktywne, wyrobifo sobie dobrą opinię *en globe*, i wszelkimi siłami starało się tę swoją pozycję utrwalić, a nawet prze-

konać wszystkich (bo samo było o tym święcie przekonane), że jest najważniejszym środowiskiem politycznym w Polsce. Rywalizowało ono przede wszystkim z Warszawą, bo Kraków w te zapasy raczej się nie wdawał i zachowywał pewną rezerwę w tej „rewolucji kulturalnej”, choćby z tego względu, że był podzielony. Najlepsi krakowscy kolorysty starali się w miarę możliwości zachować choć trochę artystycznej godności, a drugo- i trzeciorzędni malarze krakowscy nie mieli szans walczyć o nagrody, choćby mieli na nie wielki apetyt. Kraków największe prostactwo jakoś tam temperuje, a w tej grze trzeba było „iść na całego”. Ze ścisłej czołówki kolorystów jedynie Eibisch przyjął „nową wiarę” z zapalem i gorliwością, ale on należał już do Warszawy. Cybis i Artek Samborski zostali wyeliminowani z bezpośrednich akcji. Krakowscy mistrzowie – Pronaszko, Rudzka Cybisowa, Fedkowicz... – gwałcili siebie, żeby coś **dokończenie na s. 8**

W kampanii rosyjskiej Henri Beyle był oficerem administracyjnym. Wróciwszy szczęśliwie spod Moskwy, doszedł do wniosku, że czas wielkości minął. Nie będzie europejskiego cesarstwa i nikt już nie zazna szczególnego dreszczu, towarzyszącemu stawianiu się historii. Cóż pozostawało ambitnemu kapitanowi? Oryginalność w prywatności: literatura „egotysty”, jak mówił, z Beyle'a przedzierzgnąwszy się w Stendhala.

W kampanii polskiej solidarności młodzi adepci literatury roznosili – lub nawet redagowali – ulotki. Mieli wrażenie uczestnictwa w przedsięwzięciu, które zmieniało jeśli nie świat, to na pewno środkową Europę (świat śnił się kiedyś „czerwonym”, ale totalitarne przedsięwzięcie tak było skażone i kłamliwe, że nie pozostawiło po sobie żadnej literackiej nostalgii). Im jednak bliżej było szczęśliwego końca, tym lepiej pojmowali, że mija czas wielkich uniesień. Nie będą już one kształtowały literatury. Przynajmniej – ich literatury. Owszem, Konwickim, Orłosiom, Nowakowskim wolno będzie wracać piórem do świata, w którym się

Jan Błoński

Michnikomachia

uksztalowali. Ale przecież nie im, trzydziesto- lub nawet dwudziestolatkami! Byliby śmieszni, gdyby przeżuwali dalej Lwów i Wilno, konspirę i ubeków, solidarność i samotność... Stają więc – *si magna parvis*... – przed podobnym problemem, co niegdyś pogrobowcy Wielkiej Armii. A nawet ten dzisiejszy problem trudniejszy, bo tamci przegrali, oni zaś wygrali, ale orderów nie dostaną, bo byli za młodzi i jacyś tacy ponadkontyngentowi.

Cóż to za piękne literackie wyznanie. Zwłaszcza w Polsce. – Wymyśl się sam – mówi swoim młodym wielbicielom Muza. – Ciesz się, że nikt ci nie będzie przeszkadzać – dodaje, ale w jej oku igrają sztyrczyki hłyski. Bo ona dobrze wie, jakie to trudne! Kiedy pobrzmiwają jeszcze hymny do cnoty i wolności, piosenki luzaków i maruderów brzmieć mu-

szą niezdarnie i niepocziwie... Z zażenowania, dyskomfortu, poczucia własnej marginalności rodzi się więc frustracja i złość. Czemuż to nam właśnie przypadło takie zadanie? Któż to do cholery wymyślił! I czy ci tam, na czele pochodu, nie mogliby się trochę przyciszyć? Nie chcą nas nawet zauważyć! A jak spostrzegą i pochwałą, to całkiem jakby Pimko cip-cip na młodzianków wołał!

Stąd frustracyjne agresje, których kilka zaczerpnę z krakowskiego „brulionu” (14-15). Pierwszy na muszce znalazł się oczywiście Pan Bóg w swoim „nijakim jak sądzę rodzaju” (s. 3). Zaraz potem w polu rażenia pojawili się tatuś (s. 5) i mamusia (s. 6), którą na pewno rozniewają brzydkie igraszki syna (s. 7). Cele to wszakże dość w literaturze ostrzelane, drażnienie rodziców – a tym bar-

dziej Pana Boga, który przecież wszystko musi po chrześcijańsku wybaczyć – nie budzi szczególnego zaciekania publiczności, zwłaszcza intelektualnej. Co pozostaje? Liryka menstruacyjna, którą młoda poetka uprawia odważnie w Paryżu (s. 30)? Daremny trud: w paskudzeniu nikt już nie przewyższy chłopców Berezy, żmudnie opl..., ops... i opsz... literaturę ojczystą w wytwórni masy słownej na ulicy Wiejskiej w Warszawie. Więc może obrona „mniejszości o psychodelicznych skłonnościach (około 10% zachodnich społeczeństw)” przed uciskiem „przez większość o alkoholicznych skłonnościach (około 50% populacji zachodnich)” (s. 106). W Polsce wódofilów jest na pewno więcej i może dlatego stanowisko autora poznamy – niestety – dopiero w następnym numerze.

A w bieżącym – nikogo nie da się zaciekać czy choćby rozżłościć? Zaraz, zaraz... toż są jeszcze Żydzi! Żydzi, te święte krowy europejskich intelektualistów! Opluwanie Żydów nie może przejść bez echa! I rzeczywiście: przeciwko publikacji przedwojennego pamfletu Celin'a **dokończenie na s. 15**

twarz tygodnia

Oczy miała kwadratowe. To od oglądania telewizji, więc wierzchołki tego kwadratu były zaokrąglone na kształt kineoskopu. W oczach mijających przechodniów można było zauważyć opalizowanie źrenic właścicieli odbiorników czarnobiałych. Specjalna rozdzielczość barw ze zdecydowaną przewagą czerwieni znamionowała posiadaczy aparatów kolorowych produkcji radzieckiej. Okrągła buzia wskazywała szczęśliwych posiadaczy anten satelitarnych.

Świat coraz bardziej przypomina wioskę. Stajemy się bowiem coraz bardziej wioską. Transmisje z trwającej właśnie wojny dowodzą tego z całą naocznością. Izraelczyk z Haify dowiadyuje się z amerykańskiej sieci, że w sąsiedztwie trzasnął iracki SCUD. Cenzury państw sprzymierzonych dbają o to, aby obsługa wrzasków nie mogła korygować wyników strzelań za pomocą TV. Brytyjczycy w czasie II wojny fałszowali londyńskie nekrologi aby dezinformować celowniczych niemieckich wyrzutni „V”. Od wybuchu, poprzez nekrolog w „Timesie” przez przemycenie gazety via Lizbona mijal niemal tydzień. Dziś – dzięki łączności satelitarnej – obraz z drugiego końca świata odbieramy z kilkusekundowym opóźnieniem. Zostaliśmy posadzeni – jak ziemia i długi i gruba – w wygodne fotele i oglądamy Gesta Dei per CNN.

Tak też oglądamy współpracę radziecko-amerykańską. Prezydent Gorbaczow unieważnił dwa najwyższe nominały banknotów rublowych. Jest to pierwszy krok do wprowadzenia dwuwalutowości i wielki skok w zwiększeniu zaufania do dolara. Skoro rubel jest niewiele wart, skoro można go w każdej chwili unieważnić, wzrasta zaufanie do walut wymienialnych. My też zaczynamy od dwuwalutowości, aby dojść do pełnej wymienialności. Przez czarny rynek do wolnego rynku.

Gorsza wydaje się blokada kont bankowych. Człowiek radziecki może sobie zdać sprawę, że jego banki mają wiele wspólnego ze skarbnką-świnką: trzeba ją rozbić, żeby wyjąć swoje pieniądze. Nie jest to konstatacja bezpieczna dla świnki.

Cała ta operacja miała za zadanie odłożenie odłożonego popytu. Taka praktyka znana jest wszystkim, którzy pożyczają, aby spłacić dług. Zawsze kończy się to wielkim bankrutem. Mam nadzieję, że nie spadnie nam ten krach na głowę i będziemy go mogli oglądać, siedząc w ciepłych papuciach przed telewizyjnymi odbiornikami.

W naszej telewizji też ciekawie: może nie na ekranie ale po jego drugiej stronie. Na Woronicza rewolucja. Prezes Terlecki grozi prawie osmioma tysiącami zwolnień. Pierwsze zmiany nastąpiły w „Wiadomościach”: zwolniono Snopkiewicza, odeszła Jakubowska. Mają zamiar oboje – jak to przeczytałem w „Polityce” – napisać książkę o telewizji i jej sekretach. Nawet gdy nie będzie na co popatrzeć, może będzie co poczytać. Zastanawia fakt, że redaktor Snopkiewicz z ZSŁowskiego „Tygodnika Kulturalnego” przechodzi do OKPowskich „Wiadomości” a następnie do „Kuriera”, który jest organem SD. Są dziennikarze, którym obraz polityczny organu różnicy nie czyni; są tancerze, którym muzyka w tańcu nie przeszkadza.

A i na ekranie bywają nowości. W środę 23 stycznia prezentowano program Marka Zaleskiego i Andrzeja Titkova: *Świat przedstawiony*. Program poświęcony był „Zeszytom Literackim” i poświęcony był ciekawie. Niestety emitowano go w II programie podczas gdy program I wabił przygodami rodziny Carrington i ich popleczników oraz adwersarzy. Widocznie telewizja chce podzielić swych widzów na kulturalnych i oglądających *Dynastię*. I bardzo słusznie – polska kultura już od czasów pierwszej wojny elekcyj jest głęboko antydynastyczna.

FIZJONOMISTA

W dniu 23 stycznia odbyło się Ogólne Zgromadzenie Wyborcze Polskiego PEN-klubu. Nowym prezesem został Artur Międzyrzecki. Zarząd ukonstytuował się następująco: wiceprezisi: Jacek Bocheński i Anna Trzeciakowska, sekretarz Alina Kowalczykowska, skarbnik Bolesław Fac. Członkowie: Marian Brandys, Andrzej Braun, Andrzej Drawicz, Jerzy Ficowski, Ryszard Kapuściński, Urszula Kozioł, Erwin Kruk, Zygmunt Kubiak, Egon Naganowski, Jan Józef Szczepański, Andrzej Szczypiorski, Jerzy Turowicz, Wiktor Woroszyński. Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej został Janusz Odrowąż-Pieniążek. Dotychczas kierującego PEN-klubem Juliusza Żuławskiego wybrano prezesem honorowym. ■ 24.01 w Domu Literatury wręczone zostały nagrody im. Kościelskich. Tegorocznymi laureatami są Grzegorz Musiał, Bronisław Wildstein i Marek Zaleski. Fundacja im. Kościelskich powstała trzydzieści lat temu i ma „przyczynić się do rozwoju literatury i poezji polskiej”. Przypomnijmy, że wśród dawnych laureatów są m.in. Mroźek, Konwicki, Herbert, Jeleński, Barańczak, Michnik. Została także wręczona nagroda im. Kallenbacha, którą otrzymała Wisława Szymborska. Wszystkim gratulujemy. ■ Nagrodę za 1990 rok redakcja miesięcznika „Odra” przyznała Leszkowi Kołakowskiemu za książkę *Horror Metaphysicus*, z uwzględnieniem dotychczasowej twórczości filozoficznej i literackiej autora stanowiącej wzorzec intelektualnej odpowiedzialności i zaangażowania w sprawy współczesnego świata”. ■ 24.01 można było uczestniczyć w kolejnym spotkaniu z cyklu czwartków literackich. Było ono poświęcone książce *Koszerny kozak*, która jest zbiorem opowiadań żydowskich napisanych przez Stefana Wiecheckiego-Wiecha. Spotkanie było bardzo ciekawe, zwłaszcza że fragmenty książki prezentował Jan Kobuszewski. ■ Do 9.03 trzeba koniecznie wybrać się do Muzeum Archeologicznego na wystawę poświęconą sztuce Ma-

przegląd kulturalny

jów i na wykłady o ich astronomii. Mimo że nie jest to pełen zestaw eksponatów i tylko wrywkowo prezentuje sztukę Majów, warto zobaczyć. ■ W galerii Związku Polskich Artystów Fotografików (plac Zamkowy 8) jak zwykle interesująca propozycja. *Czas zapamiętany* to wystawa przedstawiająca stu pięćdziesięciolecie fotografii Meksyku. ■ Przypominam, że rysunki Anny Kaczmarskiej w galerii Vena oglądać można tylko do końca stycznia. A trzeba je zobaczyć. ■ Co się dzieje z Narodowym? Powołano Instytut Teatru Narodowego, którego celem działania jest doprowadzenie do zakończenia odbudowy i przygotowanie do otwarcia teatru. Dyrektorem Instytutu jest reżyser Krzysztof Zaleski. ■ 19.01 w teatrze Dramatycznym otwarta została wystawa poświęcona aktorce Halinie Miłolańskiej, a Sala Prób tego teatru otrzymała jej imię. ■ 27.01 w kawiarni „MDM” Marek Majewski zaprezentował autorski program kabaretowy *Ze śpiewnika satyryka*. Wystąpili w nim Zofia Merle, Jerzy Bończak, Emilian Kamiński, Marian Opania i autor. Wspaniała zabawa, zabrakło tylko Kociniaka. ■ 28.01 w Teatrze Wielkim odbył się koncert poetycko-muzyczny z udziałem Grażyny Szapolowskiej, Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej, Gustawa Holoubka, Jerzego Kamasa i Andrzeja Łapickiego. Dochód z koncertu przeznaczony jest na pomoc dla Litwy. Chapeaux bas. ■ 25.01 weszła na warszawskie ekrany trzecia część przygód Indiany Jonesa pt. *Ostat-*

nia krucjata. Spielbergowskie tempo, uśmiech Harrisona Forda, fantastyczny Sean Connor. Czekamy na dalsze odcinki – do odkrycia pozostała jeszcze bursztynowa komnata, miejsce pobytu Grobelnego i trójkat bermudzki. Szefem rady artystycznej Studia im. K. Irzykowskiego został Jacek Skalski, reżyser *Czce mi się wyć*. ■ W ankiecie francuskiego tygodnika telewizyjnego „Télérama” pierwsze miejsce na liście najlepszych filmów roku zajął *Dekalog* Krzysztofa Kieślowskiego, każda potwora znajdzie swego amatora. ■ 24.01 w kawiarni „Czytelnika” odbyło się spotkanie promocyjne z okazji ukazania się pierwszego numeru nowego czasopisma fotograficznego „6x9”. Świat obrazów-obrazy świata-to hasło spotkania. ■ 27.01 wystąpili w Sali Kongresowej: Wiesław Gołas, Jan Kobuszewski, Janusz Rewiński, Wiktor Zborowski, siostry Winiarskie oraz Warszawska Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją Macieja Niesiołowskiego. Czy nie wystarczy nam jeden Niesiołowski w Sejmie? ■ Bogusław Kaczyński nie występował w telewizji. ■ 25.01 w Warszawie w trakcie koncertu Berlińskich Filharmoników nastąpiło zwarcie sieci elektrycznej. W trakcie IX symfonii Brucknera na muzyków sekcji dętej posypały się iskry z sufitu Filharmonii Narodowej. Artyści znieśli to z godnością. Nie zgubili nawet pół nuty. ■ Miłośnicy Jana Sebastiana Bacha mogli wysłuchać jego partit i sonat 27.01 w sali koncertowej Zamku Królewskiego. Utwory wykonywali skrzypaczka Agata Sapięha i klawesynista Nicholas Parle. ■ Krytycy i publicyści Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków przyznają do roczne nagrody za wybitną publicystykę muzyczną prasie oraz za programy muzyczne w radio i tv. Tegoroczną nagrodę SPAMu otrzymał Jan Popis, który pisał artykuły dotyczące ostatniego Konkursu Chopinowskiego oraz gazeta „Tęsa”, w której artykuły te drukowano.

M.M.

artykuł polityczny

Strzelba Czechowa

Widomym świadectwem wprowadzenia stanu wojennego na polskie ulice stały się transporterzy opancerzone – skoty. Jeden z nich wybrał na miejsce postoju plac przy warszawskim kinem „Moskwa”. Wyświetlano w nim akurat amerykański film *Apocalypse Now*. Skot wyglądał, jak gdyby zstąpił z ekranu. Może to właśnie zainspirowało później Woody’ego Allena do nakręcenia *Purpurowej róży z Kairu*? Jeśli tak było w istocie, stanowiłoby to jedyne znane mi dotąd twórcze wykorzystanie symbolicznej oferty generalów. W każdym razie zdjęcie skota przed „Moskwą” z napisem „Czas Apokalipsy” obiegło cały świat, przekonując czytelników gazet, że czas skautingu się skończył.

Okazuje się jednak, że ten skot jest jak strzelba Czechowa. Można go wykorzystywać dotąd, póki nie wystrzeli.

Widomym świadectwem wybuchu wojny w Zatoce stał się na warszawskiej ulicy widok transportera opancerzonego przed ambasadą amerykańską. Jak poinformowała prasa, to urządzenie będzie otwierało ciągły ogień zaporowy do arab-

skich terrorystów, którzy chcieliby kanałami przejść na teren ambasady. Szkoda, że tej symbolicznej oferty nowego kierownictwa wojskowego artystycznie wykorzystać się nie da, bo Spielberg nakręcił już film *1941*. Ach, ten Hollywood!

Skautowskie wykorzystanie skota, choć artystycznie bezpłodne, spowodowało jednak skutki praktyczne. Wewnętrzne i zewnętrzne. Do wewnętrznych zaliczyć należy zniknięcie z ulic palestyńskich chust, które młodzież wykorzystywała w charakterze szalików. Wzrost chorób górnych dróg oddechowych, jaki to spowoduje, z nawiązką zrównoważą korzyści zewnętrzne.

Otóż prezydent Bush, ujęty okazaną stanowczością („Żeby Ameryka była

Ameryką...”), postanowił zredukować polskie długi o prawie 80%. Jeszcze nikomu nie udało się zyskać tyle przy pomocy jednego skota. Jest to niekwestionowany sukces polityki zagranicznej naszego nowego rządu.

Wzajemny związek skotów i redukcji długu znalazł ostatnio potwierdzenie w ZSRR. Rząd postanowił tam zredukować swój dług wobec obywateli przez unieważnienie najwyższych nominałów pieniężnych, a dokonuje tego pod osłoną skotów.

Z faktu tego należy wyciągnąć daleko idące wnioski i już dziś zacząć gromadzić odpowiednie ilości carskich rubli, które staną się niebawem jedynym środkiem płatniczym: Walka ze spekulacją nie może skończyć się bowiem na unieważnianiu pięćdziesięciu i sturublowek, a musi doprowadzić do unieważnienia rubla w ogóle. Kiedy zaś na ulice miast wylegają skoty i wszelka inna skotina, najpewniejszą walutą są carskie świnki.

Skup carskich rubli i obligacji przez polskie banki jest może mniej widowiskowy niż wyjazd Michnika na Litwę. Będzie jednak świadectwem naszego długofalowego myślenia politycznego i może przynieść równie wymierne korzyści ekonomiczne, co ustawianie skota pod amerykańską ambasadą.

Strzelba Czechowa pewnie wkrótce wystrzeli.

Tadeusz Komendant

TYGODNIK LITERACKI

proponuje Państwu reklamę na dogodnych warunkach
Cena za 1 cm² – 7 tys. zł

Zgłoszenia przyjmujemy listownie bądź telefonicznie
00-538 Warszawa, ul. Wilcza 1/21, tel. 21-12-79

Rainer Maria Rilke

Pięć pieśni Sierpień 1914

I

Po raz pierwszy widzę cię w całej postaci,
najdalszy niewiarygodny ze słyszenia mi znany boże wojny.
Jak był gęsto zasiany między owoc pokoju,
urasta nagle przerażający czyn.
Wczoraj tak jeszcze mały, potrzebujący pokarmu, teraz już
męskiego wzrostu: jutro
przerośnie męczyznę. Bo ów płonący bóg
z każdym istnieniem wydziera wzrost
rozkorzenionemu narodowi, i nastaje czas żniwa.
Pole jak człowiek wstępuje w ludzką burzę. Lato
pozostaje dzieciństwem wśród innych zabaw niwy.
Tam bawią się dzieci, starcy toną we wspomnieniach,
kobiety są pełne ufności. Woń przejmująca
kwitnących lip przepaja to wspólne pożegnanie
i to, że się wdychało tę woń, zachowa przez lata
znaczenie, że się wdychało ten zawieszony odór.
Idą narzeczone, wybrane, jakby nie temu jednemu
oddane teraz, ale przez cały naród
ustanowione dla uczuć. Powolnym uważnym wzrokiem
chłopcy ogarniają młodzieńca, już wychylnego
w niepewną przyszłość: jemu, co jeszcze przed chwilą
setkę głosów słysząc nie wiedział, za którym pójść,
jaką dziś ulgę sprawia to powszechne wołanie: c o ǝ bowiem
nie byłoby samowolą wobec beztroskich, wobec niechybnych cierpień?
Nareszcie bóg. Że często bożyszcze pokoju
lekce już sobie ważyliśmy, porwał nas nagle bóg walki
i rozdmuchuje ogień: nad sercem pełnym ojczyzny
niebo krzyczące, czerwone, z którego raz piorunem.

II

Śczęśliwy, że ich widzę w porwywie. Od dawna już
nie braliśmy tego widowiska za prawdę,
a zmyślony obraz nie przekonywał wymową.
Kochani, dziś czas przemawia jak ślepy wieszczek
z najstarożytniejszej głębi ducha.
Słuchajcie. Nigdy dotąd nie dawał się słyszeć. Bądźcie drzewami,
w których potężny wiatr szumi, szumi wciąż głośniejsz;
nad nizinami laty burzą nadciąga
wiatr ojcowskiego uczucia, czynów najwyższych, z wyżyny
gór bohaterskich, które niebawem w ponowie
waszej radosnej sławy czyściej i bliżej rozbłyszczą.
O, jakże się odmienia żywy krajobraz: odchodzi
korzeniasty młodnik, a pnie co starsze
i szczerp niedawny kłonią się ku ciągnącym.
Raz już, rodząc, rozłączenia zaznałyście, matki, -
zaznajcie i szczęścia na powrót jako te, co oddają.
Oddawajcie, co macie, bez miary. Bądźcie w te dni nagłące
szczodrobliwą naturą. Błogosławcie synów na drogę.
A wy pamiętajcie, dziewczęta, że was kochają: że w t a k i c h
sercach mają dla was uczucie, że tak przerażający napór
obcował z wami, kwieciste, odmieniony w łagodność.
Oględnością powstrzymywane, ośmielcie się do beznamiętniejszej miłości,
jak te dziewczyny z pradziejów, z sagi wzięte kochanki:
żeby ta, co w nadziei, stała w ogrodzie nadziei;
żeby ta, co we łzach, płakała jak konstelacja, co w górze
ma imię Płaczki

III

Cóż to jest od trzech dni? Czy śpiewam naprawdę grozę,
naprawdę boga, w którego wierzyłem w odległym podziwiewie
jako w jedno z tych wczesnych, już tylko wspomnianych bóstw?
Leżał w dali jak wulkaniczna góra. Czasami
w łunie. Czasem w dymie. Smutny i boski.
Może tylko pobliska osada u jego stóp
drżała. Lecz my podnosiliśmy lirę
ku chwale innych: jakich nadchodzących bóstw?
A teraz powstał: stoi; wyższy
nad nieruchome wieże, wyższy
nad powietrze wydychane w naszym dawniejszym dniu.
Stoi. Góruje. A my? Stopieni w płomieniach w jedność,

w jakiś nowy stwór, który on natchnął śmiertelnością życiem.
Ja już właściwie nie j e s t e m; zbiorowe serce
bije moim tętnem, a moje usta
rozwierają się w zbiorowym krzyku.

A jednak nocą wyje we mnie jak okrętowe syreny
głos pytający o drogę, wyje o drogę.
Czy z góry widzi ją bóg przez ramię? Czy świeci
niby latarnia morska poza bitną przyszłość,
co nas szukała od dawna? Czy jest wiedzącym? Czy m o ǝ
być kimś, kto wie, on, ten drapieżny bóg?
Ależ on wniwecz obraca wszelką wiedzę. Dawną, przychylną nam
i poufałą wiedzę. Domy leżą już teraz
jak rumowisko jedynie u jego świątyni. Powstając
szydlerczo był ją odtrącił i wszedł na niebo.

To jeszcze do niedawna niebo lata. Niebo letnie. Latem
zażyłe niebo, nad nami i nad drzewami.
Dziś: czy pozna kto, czy odczuje to bezkresne pastwisko
nad łąkami? Któż
nie wpatrywał się w nie, tak obce?

Inni jesteśmy, zrównani odmianą: każdemu
w pierś, nagle
nie własną już, jak meteor wskoczyło serce.
Rozżarzone żelazne serce żelaznego wszechświata.

IV

Nasze dawniejsze serce, przyjaciele: któżby o nim pomyślał,
tak poufałym, wzruszającym nas jeszcze wczoraj.
że bezpowrotnie je straci? Nikt
nie pozna go w sobie na powrót, nikt z ocalałych
po wielkim Przeobrażeniu.

Bo serce czasu, wciąż jeszcze niedo-
wskrzeszonego praczasu dawniejsze serce
wyparło to, które bliskie, które odmieniało się z wolna,
naszą zdobyczą. A dziś
ustaje, przyjaciele, to nagle
sterane serce; sięgnijcie więc po gwałtowne!
Chwałę głosząc: bo zawsze było zaszczytnie
nie na własnych przezornie poprzestawać kłopotach, ale
śmiało być ducha, ale w świetności
zazanego niebezpieczeństwa, uświęcająco zbiorowego. Równie
wysoka jest w polu cena życia nieprzeliczonych mężczyzn, a śmierć
po królewsku we wnętrzu każdego bierze najśmielsze miejsce.
W chwale zaś, przyjaciele, wysławiajcie też ból,
bez biadania wysławiajcie ból, żeśmy nie byli
z przyszłości, spowinowaceni
ze wszystkim, co przeminione: chwalcie i oplakujcie ten ból.
Nie miejcie skargi za hańbę. Płaczcie. Prawdą nareszcie
stanie się ten nieprzenikniony, ten
dla nikogo niezrozumiały los,
skoro go oplacacie bez miary, choć przecież i tak ten bezmierny,
ten oplakany, spójrzcie: uchodzi za upragniony.

V

Dalej, postraszcie straszego boga! Niech się przerazi.
Za wcześniej uległ rozkoszom walki. Dziś niech ból was pociąga,
niech was ponagla nowy zdumiewający ból walki,
wcześniej niż jego gniew.
Gdy już krew was pokona, szlachetna krew
po ojcach: niech wasze uczucie
pozostanie wciąż jeszcze własne. Nie naśladowajcie
niczego wcześniejszego, dawnego. Sprawdźcie,
czy nie jesteście bólem. Czynnym bólem. Ból
też ma swoje radości. O, wtedy chorągiew nad wami
wydmie się wiatrem, który ciągnie od wroga!
Jaka? Bólu. Chorągiew bólu. Ciężkie
łopocące płótno bólu. Każdy z was ocierał nim spotniałą
znękaną gorącą twarz. Wasza
zbiorowa twarz usiłuje na nim przybrać swe rysy.
Może rysy przyszłości. By w niej nienawiść
nie pozostała trwale. Ale zdumienie, ale nieogłędny ból,
ale wspaniały gniew, że wam narody,
te ślepe wokół, nagle nie dały przejrzeć;
te -, z których jak z powietrza i z kopalń
czerpaliście oddech i ziemię. Wiedzieliście bowiem,
że powołaniem waszym jest zrozumieć, nauczyć się, ale
uszanować też w sercu wiele z tego, co obce.
Dziś znów musicie poprzestać na swoim. Lecz to
rozrosło się. Jeżeli nawet nie na cały świat, -
dla was niech będzie to świat! Bawcie się nim jak lustrem,
co chwyta słońce i zwraca w sobie
słońce przeciw zbląkanym. (Niech wasze własne
obłąkanie zapłonie w bolesnym, w strasznym sercu.)

Początek sierpnia 1914

przełożył Adam Pomorski

Jerzy Malewski (Włodzimierz Bolecki)

Do zobaczenia w wolnej Polsce: *Lewa wolna* Józefa Mackiewicza

Mimo że opublikowana po *Drodze donikąd* (1955), po *Karierowiczu* (1955), *Kontrze* (1957) i po *Sprawie pułkownika Miasojedowa* (1962), *Lewa wolna* zajmuje w twórczości Mackiewicza miejsce wyjątkowe. Akcja powieści rozgrywa się w latach 1918–1921 a jej główne wydarzenia dotyczą wojny polsko-bolszewickiej. W refleksji Mackiewicza nad historią Europy Wschodniej okres ten był początkiem wydarzeń, które umożliwiły późniejszą o lat dwadzieścia ekspansję bolszewików na Europę i inne kontynenty.

Z kolei w biografii Mackiewicza – to okres jego młodości, służby wojskowej, pierwszych obserwacji konfliktu między odradzającym się niepodległym państwem polskim i aspiracjami państwowymi narodów położonych między etniczną Polską i historyczną Rosją. A także – między wszystkimi narodami Europy Wschodniej a powstającym państwem bolszewickim.

Na autobiografii Mackiewicza-kawalerzysty osnuty jest niewątpliwie wątek Karola Krotowskiego – głównego bohatera powieści. Trudno powiedzieć, gdzie kończy się wspomnienie a zaczyna literacka fikcja, niemniej wiele epizodów powieściowej historii Krotowskiego odpowiada biografii samego Mackiewicza: choćby szlak bojowy Krotowskiego, walki z korpusem Gaj Chana, wejście bolszewików do Wilna, pobyt w szpitalu w Warszawie.

Do elementów biograficznych w tej powieści zaliczyć też trzeba historie rodzinne oraz historie zasłyszane przez autora od przyjaciół czasów młodości. Z tego względu *Lewa wolna* jest powieścią z kluczem personalnym.

Jednak w splątanych losach poszczególnych bohaterów ukryty jest głębszy zamysł literacki. Mackiewicz opowiada bowiem dzieje ludzi, którzy wyrosli z tej samej kultury, nierzadko byli sąsiadami, czasem

łączyło ich bliskie lub dalsze pokrewieństwo rodzinne, i których wydarzenia związane z rewolucją bolszewicką, powstaniem Polski czy państw bałtyckich zmusiły do podejmowania odmiennych decyzji czy działań. Z dziejów własnej rodziny Mackiewicz znał głębokie, nieusuwalne podziały: wśród jego krewnych i powinowatych byli przecież ludzie, których drogi rozeszły się nieodwracalnie. Byli wśród nich polscy i litewscy nacjonalisci, byli komuniści, byli też rosyjscy i polscy patrioci. Niewątpliwie to uwrażliwienie na rodzinno-narodowo-polityczne komplikacje losów ludzkich pozwoliło Mackiewiczowi pokazać problem, który w polskiej świadomości historycznej sprowadzał się najczęściej do biało-czarnych schematów.

Jeśli poważnie myśleć o istocie bolszewizmu i o jego triumfie, to nie sposób pominąć pytania, w jaki sposób ze wspólnej kultury i z tego samego kraju mogli wyrosnąć Józef Piłsudski i Feliks Dzierżyński...

W powieści Mackiewicza przykładem tak odrębnych losów dawnych sąsiadów i niemal rówieśników są biografie Karola Krotowskiego i Jana Wintowta. Pierwszy wstąpił do polskich ułanów, drugi – przylączył się do bolszewików i wkrótce „awansował” do specjalnego oddziału politycznego podlegającego bezpośrednio WCzK. Z kolei brat Jana, Piotr, walczył przeciw bolszewikom w oddziale Bułak-Bałachowicza (obaj zginą okrutną śmiercią). Tak splątanych losów jest w powieści więcej, ale niezależnie od kłębówiska zdarzeń, motywacji psychologicznych czy rozmaitych przypadków losowo-obyczajowych teza Mackiewicza jest czytelna: Mackiewicz opowiada bowiem o strasznej destrukcji przyniesionej na te tereny przez rewolucję bolszewicką pierwotnej wspólnoty kulturowo-rodzinno-geograficznej. Bolszewizm – jako ideologia i jej realizacja – oznaczał totalną destrukcję człowieczeństwa i wszystkich wartości, na

których opierała się cywilizacja, życie społeczne i państwowe; przyniósł zdziczenie, bestialstwo, amoralność przekraczające wszelkie wyobrażalne granice. Stał się też decydującym czynnikiem, który doprowadził do ostatecznego zniszczenia wielonarodowej, wielokulturowej i wielopaństwowej struktury społeczeństw zamieszkujących Europę Wschodnią.

Równoległe z wątkami personalnymi powieść Mackiewicza jest też kroniką wydarzeń wojny polsko-bolszewickiej a po trochu kroniką przebiegu rewolucji październikowej i analizą przyczyn jej przetrwania. Oznacza to oczywiście zmianę sposobu narracji: już nie wspomnienie, ale drobiazgowo wiedza historyka kształtuje opowiadanie. To przemieszanie konwencji, perspektyw czasowych, wiedzy i kompetencji narratora jest stałym – i programowym – zabiegiem kompozycyjnym Mackiewicza. Jednak obie płaszczyzny powieści podporządkowane są wspólnemu założeniu: opisaniu tego, co się wówczas wydarzyło – w losach pojedynczych ludzi i w historii Polski, Europy – a nawet świata.

Historyczna teza Mackiewicza jest tyleż akceptowana, co odrzucana. Sam pisarz przedstawiał ją wielokrotnie w swych artykułach oraz w *Zwycięstwie prowokacji* (1962). Do powieści weszły zresztą niektóre sformułowania i zdania z tamtej książki.

Przedstawię tę tezę w skrócie. Zdaniem Mackiewicza, fakt że bolszewicy nie zatrzymali zachodnich terytoriów imperium carskiego, zawdzięczamy decyzji sztabu niemieckiego z 22 lutego 1918 roku. Niemcy – pozostający we wschodniej Europie, na polecenie aliantów – zażądali wycofania się bolszewików z Estonii, Łotwy, prawie całej Białorusi i całej Ukrainy. Na posiedzeniu CK bolszewików Lenina z trudem przeforsował akceptację pokoju z Niemcami na warunkach podyktowanych 22

lutego. Pokój w Brześciu Litewskim podpisano 23 marca 1918 roku, a w jego wyniku wojska niemieckie zajęły kraje bałtyckie, Białoruś, Ukrainę. To właśnie obecność niemiecka w północno-zachodnich regionach imperium carskiego umożliwiła ostatecznie powstanie takich państw jak Łotwa, Estonia, czy Litwa. Stąd też naturalna proniemiecka orientacja tych państw w okresie II wojny światowej – ale to późniejsze dzieje.

Jeśli chodzi o Polskę, to jej stosunek do powstającego państwa bolszewickiego został określony przez etos niepodległościowego ruchu socjalistycznego, oparty na tradycji walki z carską Rosją. Toteż w chwili, gdy „biała” Rosja zawarła się z bolszewikami, naturalna sympatia polskich socjalistów – z Piłsudskim na czele – była raczej po stronie bolszewików, w których widzano przeciwnika walczącego ze wspólnym wrogiem: z carską Rosją. A nawet jeśli nie można mówić o sympatii, to niewątpliwie strona polska zajęła stanowisko obojętne wobec „wewnątrzrosyjskiego” konfliktu białoczerwonych. Rosja biała czy czerwona – sądzono – pozostanie zawsze Rosją. Piłsudski w powieści Mackiewicza mówi do „starych towarzyszy partyjnych”: „Nie walczymy z rewolucją, lecz walczymy z Rosją. Sowiecką czy białą. Sowiecka jest mniejszym złem, bo mniej dla nas groźna niż biała. Pozostaje jednak Rosją. Ze swoim Leninem, Trockim i generałami Brusilowem, i Szapozhnikowem czy innymi, których zaprosili teraz do wspólnej kampanii”.

Rezultatem takiego myślenia był brak zgody Piłsudskiego na zsynchronizowanie walki przeciwko bolszewikom z działaniami armii Denikina a potem Wrangla. Mackiewicz szczegółowo, epizod po epizodzie, opisuje tajne rozmowy między wysłannikami Lenina (w lipcu 1919 był nim Julian Marchlewski – pseudonim „Jan Kujawski”) a Piłsudskim, i sugeruje, że w ich wyniku

Marian Stala

...Szukając tego, co jest Rzeczywiste (3)

Hermeutyczny i „gnostyczny” wymiar dzieła Miłosza, jego przekonanie, iż „poezja jest latarką odsuwającą ciemność świata”, zaś „poeta przebywa na samej granicy, jakiej dosięga świadomość ludzkiego rodzaju” („Jeffers: próba ujawnienia”, ZMU, 245) sprawia, iż jego słowa pojawiają się przed nami w podwójnej perspektywie: jako słowa tego, który poszukuje i tego, który jest wtajemniczony. Miłosz, medytujący nad sensem wygnania, albo pytający o własną tożsamość, pokazuje nam oblicze poszukującego. Miłosz jako człowiek Księgi, poeta ładu świata (nawet jeśli obie idee są traktowane jako horyzont myślenia, nie zaś coś bezpośrednio danego) – to ten, który wie.

Przeciwstawienie to ma istotnie konsekwencje, zmienia bowiem strukturę napięć i hierarchię ważności elementów w przekazywanej wizji świata. To, co wydawało się w czasie poszukiwań najtrudniejsze – nagle traci znaczenie. Sprzeczności okazują się różnymi aspektami tej samej całości

Słowa zaczynają co innego znaczyć: zwolennik Arystotelesa okazuje się wielbicielem Platona... Zapewne spojrzenie z perspektywy punktów dojścia wydaje się bardziej naturalne, oczywiste. Nie powinno ono jednak zacierać czy unieważniać perspektywy drogi... Dlatego, zarysowawszy pewne generalne odpowiedzi, chciałbym powrócić jeszcze raz do porządku poszukiwania i spytać się o to, jakim przemianom uległy u Miłosza sposoby doświadczania, przeżywania rzeczywistości. O ile bowiem pojęcie rzeczywistości jest obecne u autora *Ziemi Ulro* od samego początku jego twórczości – o tyle forma i tonacja spotkania z tym co rzeczywiste (czy: Rzeczywiste) ulega zmianom...

Gdyby spytać, co jest najbardziej trwałe w Miłoszowskim doświadczaniu rzeczywistości, odpowiedź musiałaby być nader ogólnikowa. Jest to samo nastawienie na świat, wychylenie ku niemu. „Człowiek stoi wobec świata” (ZMU, 133), „stoi wobec tego co jest”. Tym co określa tego człowieka, co określa artystę, jest „oko skierowane na (...)

przedmiot, istnienie, être” (ZMU, 250). Doświadczenie to jest zapewne zakorzenione w bardzo zwyczajnym, codziennym niemal przeżyciu zaufania czy pewności wobec świata, które to doznania nakazują wierzyć, że ów świat nie znika, gdy przestajemy nań patrzeć – nie zmienia to wszakże jego fundamentalności...

„Stanie wobec”, „skierowanie na” wskazuje, iż rzeczywistość traktowana jest jako to, co stale obecne, co narzuca się doświadczającemu, co przyciąga – i zarazem ukazuje się jako zadanie czy wyzwanie. Wyzwała to chęć sprostania światu, uchwycenie go... i niemal jednoczesne poczucie, iż to co istnieje, co się uobecnia, przerasta człowieka, nie da się do końca wyczerpać...

Ślady tego napięcia między poczuciem, iż coś jest źródłowo dane – a niemożnością osiągnięcia pojawiają się w całej twórczości Miłosza, lata ostatnie wyraźnie je przy tym zgęszczają. „Dane było życie ale niedosiężne” – mówił poeta w „Guciu zaczarowanym” (W II, 109). Gdzie indziej zaś: „Natrafiałem na to przechodząc ulicą i wydało mi się to jak wyjawione ludzkie przeznaczenie. Ale nie miało nazwy (...).” (W II, 201). Ostatnie z przytoczonych słów mogłoby sugerować, iż poczucie niedosiężności wywodzi się ze sprzeczności między naturą rzeczywistości i języka, z konfliktu konkretności i ogólności. Ten konflikt, czy raczej świadomość jego istnienia, wciąż u Miłosza powraca. Choćby tak:

A słowo z ciemności wyjawione było gruszka.
Krażyłem dokoła niego podskakując to próbując
skrzydełek.
Ale kiedy już-już pylem z niego słodycz oddalało się.
Więc ja do cukrówki – wtedy kąt ogrodu,

front wojsk polskich na zachodzie został dwukrotnie zatrzymany w najbardziej krytycznym dla bolszewików momencie ofensywy kontrrewolucyjnych wojsk z południa Rosji. W rezultacie decyzji Piłsudskiego – twierdzi Mackiewicz – bolszewicy mogli przerzucić armię z frontu zachodniego na południowy i rozbić wojska kontrrewolucji. Z kolei zwycięstwo pod Warszawą też nie zostało przemienione przez Piłsudskiego w ostateczną klęskę bolszewików. Pośpieszenie je przypieczętowało – korzystnym dla bolszewików – traktatem ryskim (12 października 1921) w momencie rozpoczęcia z południa nowej ofensywy Wrangla. Nie zagrożeni dalszym marszem wojsk polskich, bolszewicy skupili wszystkie siły przeciw Wranglowi i w miesiąc później ostatecznie rozbili wojska kontrrewolucji.

Revolucja bolszewicka została ocalona. Oczywiście o nie podjęciu współdziałania z Denikinem czy Wranglem nie przesądziła tylko wrogość Piłsudskiego do wszelkiej kontrrewolucji i samodzierżawia, ani też brak zainteresowania strategicznymi celami bolszewików. Zdecydowała tu postawa carskich generalów, którzy oczekując od Piłsudskiego współpracy w walce z bolszewikami – odrzucali kategorycznie – w imię Rosji „jedynej i niepodzielnej” – wszelkie aspiracje niepodległościowe nie tylko Polaków, ale i innych narodów dawnego imperium carskiego. Rzecz jasna dla żadnego narodu, który zyskał szansę suwerenności, stanowisko to było nie do przyjęcia.

Na mocy pokoju ryskiego Polska utrwaliła niepodległość swych wschodnich obszarów, ale na mocy tego samego traktatu internowano wszystkie niepolskie oddziały (Rosjan, Ukraińców, Białorusinów) walczących z bolszewikami po stronie Polski. Zrezygnowano także z wywalczenia niepodległości dla Ukrainy. Opuszczono więc najwierniejszego alianta w walce z bolszewikami (Petlura) – dokładnie tak samo, dwadzieścia lat później, w Teheranie i w Jaltce, postąpią z Polską Anglicy i Amerykanie...

Mniejsza o szczegóły tych wydarzeń – długo można je rekonstruować. Ważniejsza wydaje mi się interpretacja Mackiewicza, która do wiedzy o faktach wnosi oryginalny, a trudny do przyjęcia przez Polaków – wychowanych w legendzie Piłsudskiego – pogląd o naszej, i nie tylko naszej historii.

Wydarzenia lat 1919–1921 – powiada Mackiewicz – skończyły się totalną klęską idei federacyjnej Piłsudskiego. Pogwałcenie umowy suwalskiej z Litwą, rezygnacja z po-

parcia dla niepodległości Ukrainy, bilateralny układ z bolszewikami kosztem polskich aliantów w tej wojnie, wbiły klin nienawiści pomiędzy poszczególne narody tego obszaru.

Z wydarzeń lat 1918–1921 państwa i narody Europy Wschodniej wyszły skłócone, właśnie narodowe stały się jeszcze dotkliwsze niż w poprzednich dziesięcioleciach; co więcej – zawarty w pośpiechu traktat ryski w pewnym sensie umożliwił bolszewikom przetrwanie, a zatem – pośrednio – umożliwił im „powrót po swoje” dwadzieścia lat później...

Wina nie leżała jednak wyłącznie po stronie Polski, rozkładała się proporcjonalnie na wszystkie narody, którym troska o własne korzyści narodowe przeszkodziła podjąć solidarną walkę ze wspólnym wrogiem – bolszewikami. I to właśnie stanowi właściwy temat *Lewej wolnej*.

Otóż zwycięzcą tamtych wydarzeń, pisze Józef Mackiewicz, był jedynie NACJONALIZM wszystkich narodów Europy Wschodniej... To dzięki niemu bolszewicy nie natrafili na wspólny front oporu, to dzięki niemu mogli prowadzić walkę z każdym

państwem osobno (nazwano to później techniką salami) i to on właśnie uniemożliwił rozpoznanie właściwego charakteru niebezpieczeństwa bolszewicko-komunistycznego.

W latach 1919–1921 Polska, powiada Mackiewicz, nie walczyła z Rosją, lecz z imperium nowego typu: ideologicznym i totalitarnym. Jego celem nie była okupacja terytorium innego państwa, lecz zniszczenie całej ludzkiej cywilizacji i przerobienie każdego człowieka na bolszewika. Nie było to więc zagrożenie jednego państwa i jednego narodu, lecz całej ludzkości. Polska była więc wówczas tylko pierwszym z etapów na drodze do rewolucji światowej i to właśnie dlatego, że przez Polskę a nie na przykład przez Bułgarię czy Kubę wiedzie droga z Moskwy do Europy. Tego właśnie – powiada Mackiewicz w 1945 – nikt nie rozumiał. W 1965 nie było o wiele lepiej...

W powieści jedna z postaci mówi o tym następująco: „podczas gdy panowie Denikinowie, Piłsudscy, Ukraińcy, jacyś tam Litwini i inny drobiazg, operują po staremu pojęciami interesów międzynarodowych, bolszewicy – pojęciami interesów narodowych. Gdy tamtym panom chodzi tylko o język i sypanie kopców granicznych, bolszewikom chodzi o zlanie języków i zrównanie kopców granicznych. Wszystkie te narody od Finlandii począwszy, Estończycy, Łotysze, Litwini, Polacy, Białorusini, Ukraińcy i wiele ich jeszcze tam jest, wikłają się w spory między sobą, intrygi a nawet wojny, jak o Lwów i Galicję. A co chcą panowie Kołczakowie i Denikinowie? Kontrrewolucja tak samo wychodzi z założenia, że w wojnie przeciw bolszewikom należy „oprzeć się na zdrowych siłach narodowych”, a nie na międzynarodowej spójni przeciwko międzynarodowemu zagrożeniu. No i dla Lenina, chwala Bogu, Denikin chciał walczyć wyłącznie z rewolucją „rosyjską”, a Piłsudski, jak widać dotychczas, chce walczyć z „Rosją”. Obydwaj sądzą, że to rozgrywka bilateralna, podczas gdy Lenin i Trocki prowadzą rozgrywkę globalną. Ot, gdzie sobaka zaryta. Denikin widzi tylko interesy Rosji, Piłsudski tylko interesy Polski. Więc znowu między nimi spór o język i granice. A dla Lenina naczyhać na te sprawy. I co wychodzi? (...) Denikin wyjechał z „miłością do Rosji”, Piłsudski z „miłością do Polski”. A Lenin i Trocki – z nienawiścią do wszystkiego, co było przedtem. (...) Przedmiot sporu pomiędzy Denikinem i innymi tam jeszcze, jest dla Lenina-Troc-

dokończenie na s. 14



EDWARD DWURNIK

Złuszczone białe farby drewnianych okiennic,
(...)

Więc ja do ulegalki, do bery i do bergamoty.
Na nic. Między mną i gruszką ekwipaże, kraje.

(Po ziemi naszej 6, W II, 99)

Słowa, zdaje się mówić Miłosz w swym poetycko-filozoficznym wywodzie, są beznamiętne wobec jedności, konkretności przedmiotów. Słowa odsyłają do rodzajów, gatunków, odmian gatunkowych, osaczają rzecz poprzez przywołanie okoliczności, w których nam się pojawiła – ale zatrzymują się przed tym, co w owej rzeczy najbardziej własne, przed jej tajemniczym haecceitas... Czy znaczy to jednak, że tylko język broni dostępu do sedna rzeczywistości? Że niedosiężność rzeczy jest problemem językowym? To wątpliwe. Miłosz – dość daleko jest od demonizowania roli języka, od poddawania go, tak częstym w dwudziestym wieku, podejrzeniu... Więcej – poeta jest doskonale świadom szczególnej siły uobecniania, tkwiącej właśnie w języku, w słowie – odwołującym się do jednostkowej pamięci i wyobraźni. Jeśli więc powiada, iż rzeczywistość „jest (...) zawsze, każdego roku, każdego miesiąca, nowa i nienazwana” (ZMU, 347) – to nie jest to sprawa języka, tylko samej rzeczywistości...

Wspomniana przed chwilą niedosiężność nie jest też (w zasadzie) sprawą skali doświadczenia – nie jest najistotniejsza, czy oko poety jest skierowane na jeden punkt, czy też na cały świat. (Nie jest to wcale sprzeczne z podstawami światoodczucia i wyobraźni Miłosza). To prawda, iż momenty najintensywniej przeżywanego zaufania do świata, miłości doń, czy jedności z nim wiążą się w interpretowanym dziele z pochyleniem się, ze spotkaniem z czymś pojedyn-

czym. To prawda, że takie doświadczenie nasycone jest intensywną sensualnością, pragnieniem wchłonięcia świata:

Nie ukrywam, że wszystkie kwiaty jakie są
Chciałbym zjeść i zjeść jakie są kolory.

(W Mediolanie, W II, 79)

Ale zarazem poszczególne, konkretny przedmiot, albo momentalne zdarzenie odsyła wciąż od nowa do całości istnienia – choćby dlatego, iż świat w swojej istotnej strukturze nie może być inny niż ów przedmiot... Zatem całość istnienia pełna jest u Miłosza niejasnych świadectw powinowactwa każdej rzeczy ze wszystkim... Co daloby się powiedzieć słowami Blake'a:

Zobaczyć świat w ziarenku piasku,
Niebiosa w jednym kwiecie z lasu.
W ściśniętej dłoni zamknąć bezmiar,
W godzinie – nieskończoność czasu.

– albo też samego Miłosza:

Kiedy księżyc i spacerują kobiety w kwiciastych
sukniach

Zdumiewają mnie ich oczy, rzęsy i całe urządzenie świata.
Wydaje mi się, że z tak wielkiej wzajemnej skłonności
Mogłaby wreszcie wyniknąć prawda ostateczna.

(Kiedy księżyc, W II, 148)

Z tego równania między szczegółem i całością wynika także to, iż doświadczenie konkretnego przynosi tę samą tajemnicę, co doświadczenie całości istnienia, że najdrobniejsze, niepowtarzalne istnienie jest równie niedosiężne, niewyczerpalne – jak świat... Stąd zaś wynika dalej, iż blask konkretnego, ani poczucie szczęśliwości przenikające dotykają-

cą go rękę, nie dadzą się sprowadzić do sensualnego odczucia czegoś niepowtarzalnego. (Dlatego może powiada Miłosz w cytowanym poprzednio wierszu. *W Mediolanie*: „Tak, być poetą pięciu zmysłów chciałbym. Dlatego sobie zabraniam nim zostać”) Owo spotkanie z konkretem jest – ostatecznie – doświadczeniem jedności jako zasady bytu. Ale jest to coś jeszcze i zarazem czymś więcej, co Miłosz od pewnego czasu ujawnia bardzo wyraźnie... Na przykład wtedy, gdy mówi: „Nie jest mi dane żadne inne miejsce ani żaden inny czas i od poczucia przemijalności mego ciała bronię się dotykając stołu”. (WSF, 7). Mógłby dodać: tego właśnie stołu – jak w wierszu, napisanym kilkanaście lat po przytoczonych przed chwilą słowach:

Tylko ten stół jest pewny. Ciężki. Z masywnego drzewa.
Przy którym uczujemy jak inni przed nami
Zgadując pod werniksem dotyki ich palców.
Wszystko inne wątpliwe.

(Stół, NO, 131)

Co zatem tak mocno ujawnia się w Miłoszowskich epifaniach? Najprościej mówiąc: napięcie między tym co jest („esse”) i tym co „staje się”, paradoks trwania i przemijania. Z tego punktu widzenia istotne jest nie to, iż świat odsłania się jako zbiór rzeczy konkretnych – lecz to, iż owo kluczowe doświadczenie ma charakter momentalny. Moment zaś ze swej natury należy do obu wspomnianych porządków. Może być prefiguracją zarówno nietrwałości, jak wieczności. Może zapowiadać uwięzienie w ciągłych przemianach, jak i nieskończone trwanie... Dlatego może świat, odsłaniający się w momentalnym błysku tak jest

dokończenie na s. 9

Hanna Baltyn

Jak wystawić „Nie-Boską Komedie”? Wraz z „Boską”, ale nie tą Dantego Alighieri, ale tą którą wymyślił i napisał Krasiński.

Stycziowa premiera Macieja Prusa w Teatrze Dramatycznym opiera się na tekście *Nie-Boskiej i Niedokończonego poematu*. W moim wydaniu *Pism Zygmunta Krasińskiego* (jubileuszowe, Kraków 1912), „Poemat” nosi tytuł „Nie-Boskiej Komedii część

a wraz z nim koniec czasu Historii i epoka Ducha Świętego ma przecież nadejść pod koniec ostatniego aktu, nie w pierwszym.

Opuśćmy piekło na rzecz Wenecji. Dlaczego tam się udajemy? Bo historia tego miejsca dziwnie przypomina historię Polski. Kiedyś dumna i potężna Rzeczpospolita, teraz pod obcym, austriackim zaborem. Serenissima straciła swój blask. Pozostał wyłącznie blask

istnieje w ludziach. U Prusa Szatan zyskał ciało, konkretną postać.

Z ulic Wenecji schodzimy do podziemi. Tam po raz pierwszy spotkają się dwaj antagoniści części drugiej: Henryk i Pankracy. Tam też swe kwestie wygłaszać będzie Julinicz, porte parole Słowackiego, z którym autor „Psalmy przyszłości” był w bezustannym sporze. Ich polemika koncentrowała się wokół pytania, jak mu się przejawia Historia. Pierwotnie „ludowego wieszczka Julinicza”, autor „Odpowiedzi na «Psalmy przyszłości»” uważał, że wszystko rodzi się w bólach. Im większy ból, tym wspanialszych możemy doczekać się narodzin. Rewolucje, rzezie i strugi krwi to po prostu skurcze porodowe jakże wspaniałej, pojutrze, przyszłości. Krasiński odpowiadał mu stanowczo, że niegodny czyn do godnego celu prowa-

Po pierwsze aktorzy. Można postawić zarzut, że spektakl jest słaby, bo nie dźwigają go aktorzy. Zgoda, przyciągającego aktorstwa, poza Gajewskim, nie ma. Ale spektakl nie jest słaby. Jest raczej przykładem teatralnego paradoksu, wysoka – w moim przypadku – ocena sztuki, gdzie nie ma scenicznych osobowości, świetnej gry. Udana „maszyna” do grania Krasińskiego, dekoracja Aleksandry Semenowicz jest funkcjonalna i ascetyczna, dobrze się ją ogląda. Ale to nie powód, by aktorów nie najlepszej dykcji ustawicznie stawiać tyłem do widowni i kazać im mówić do czarnych ścian, których odbicia zamieniają głos w szmer czy nieartykułowany bełkot. Spektakl ma być dla widza, nie dla inspicjenta. Percepcja dramatu Krasińskiego wymaga tak dużego wysiłku, intelektualnego, że dodanie doń niespełnionych wysiłków laryngologicznej natury może ten trud wręcz niweczyć.

Wydaje się też, że stanowienie o tym gdzie ma być antrakt, jak cezura w wierszu, jak oddech w zdaniu, stanowi o sensie całej wypowiedzi. Dlatego sądzę, że wątek Orcia powinien się dopełnić w drugim akcie, tym bardziej, że proporcje aktów są mocno zachwiane. Wdech w średniowiecze jest tak samo ważny dla tego, kto opowiada, jak i dla tego, kto słucha. Antrakt jest równie ważny dla reżysera jak dla widza. Nie warto wystawiać tego ostatniego na zbyt długie i nużące próby, bo z widza życiowego zmienni się w malkontenta.

Ja malkontentką nie jestem, więc z przyjemnością powiem, że bardzo udało się teatralnie scena szaleństwa Żony (Bożena Miller-Małęcka). Scena ta pokazuje, że szaleństwo w planie psychicznym jest zapowiedzią szaleństwa w planie społecznym. Jedną z pacjentek szpitala wariatów wypowiada kwestie tradycyjnie mówione w obozie rewolucji. Długie rękawy kaftanów bezpieczeństwa mają pętać nie tylko szaleństwo skierowane do wewnątrz, przeciw sobie, ale i przeciw bliźnim. Dom wariatów jest dla jednostek tym, czym państwo podporządkowane rewolucji może być dla społeczeństwa.

Obóz rewolucji zachwyca kolorem. Szlachetna królewska barwa purpury jest jednocześnie barwą najniższą – barwą liberii. I krwi na ostrzu rzeźnickiego noża. Cały obóz rewolucji, jego ideologia, jawi się jako wielki akt odreagowania, uwolnienia instynktów tłumionych przez porządek społeczny. Nie ma społecznego porządku, padły autorytety (vide: kopolujące zakonnice). Rewolucja jest nie tyle akcją, dobijaniem się o samoistne wartości, ile reakcją, zaprzeczaniem wartości cudzych. W roku 1989 czy może 1990 przeżył się mit, że rewolucja niesie ze sobą jakiegokolwiek autoteliczne wartości. Ale duch tego mitu pokutuje po dziś dzień i dobrze chyba, że ktoś z nim walczy. Pisałam nie najlepiej o aktorstwie. Coś jednak daje się z niego odczytać. Hrabia Henryk (Mariusz Bonaszewski) i Pankracy (Dariusz Siatkowski) są, co wynika z ostatniej rozmowy, niemal identyczni. Wchodzą nie tylko w spór ideologii, spór racji. Toczy się między nimi spór ambicji. To odarta z ideologicznego sztafażu walka o władzę.

Najsłabiej pod każdym względem wypadło zakończenie dzieła. Sformułowałam to niewłaściwie, bo spektakl w ogóle się nie kończy. Fakt, że Galilejczyk zwycięża, nie jest wyraźnie podkreślony ani światłem, ani dźwiękiem. Pankracy porażony mocą Mściciela też umiera tak jakoś niewyraźnie. Zarzut, że dramat się nie kończy, nie jest zarzutem byle jakim. U Krasińskiego zwycięstwo Galilejczyka było zwycięstwem ostatecznym, było końcem świata. Nie zauważyć końca świata nawet w teatrze jest grubym nietaktem.

Długo trwały frenetyczne brawa po premierze. Wiele razy wychodzili do ukłonów aktorzy, wniesiono też wieńce. W tym momencie przypomniała mi się anegdota o tym, jak po prapremierze *Nie-Boskiej* w Krakowie w 1902, manifestując politycznie wniesiono wieńce z czerwonymi wstęgami dla Leonarda. Były one pochwałą nie tylko aktorskiej sztuki, ale i ideologii, jaką reprezentowała postać. Dziś wiadomo na pewno, że te kwiaty zwiędły.

TEATR DRAMATYCZNY, Zygmunt Krasiński, *Nie-Boska Komedie z Niedokończonym poematem* opracowanie tekstu i reżyseria: Maciej Prus, dekoracje Aleksandra Semenowicz, kostiumy Izabela Kordalewska, muzyka Marcin Błażewicz. Premiera 12 stycznia 1991

Nie-Boska na nowo

W teatrze więc po raz pierwszy nadano dramatom kształt, w jakim chciałby go widzieć autor. Od 1902 roku, kiedy to w Teatrze Miejskim w Krakowie dramat Krasińskiego wraz z pamiętną rolą Michała Tarasiewicza (hrabia Henryk) po raz pierwszy ujrzeli widzowie, ustaliła się tradycja pokazywania go tylko w części. Inscenizacja Prusa, tradycję tę przelamująca, na pewno przejdzie do historii jako punkt zwrotny w rozumieniu i interpretowaniu największego dramatu Trzeciego Wieszca.

Najważniejsze dramaty romantyzmu, a i pewno najważniejsze dramaty polskie w ogóle (nie licząc Wyspiańskiego) to *Dziady*, *Kordian* i *Nie-Boska Komedie*. Michał Masłowski, poświęcając swoje *Dzieje Bohatera* teatralnym wizjom tych trzech utworów do czasu II wojny światowej pisał:

„W teatrze bowiem w sposób najbardziej oczywisty zbiegają się potoczne wyobrażenia epoki na dany temat z twórczą wolą artystów, którzy biorą na siebie niejako odpowiedzialność za wymowę dzieła. A ponieważ istota sztuki teatru tego wymaga, tłumaczą historyczne pojęcia, ideały etyczne, historiozofię i filozofię romantyzmu na język współczesnych sobie gestów i zachowań ludzkich (...) Wyrażają i współtworzą stosunek epoki do romantycznej tradycji. Kolejne przedstawienia stanowią potem jakby fazy, słupy milowe rozwoju narodowej świadomości i przegląd najważniejszych inscenizacji daje szansę ich prześledzenia”. *Nie-Boska* Prusa otworzy zupełnie nową fazę.

Wizję sceniczną buduje reżyser na początku z kontrastów i opozycji. Widzimy tylko biel i czerń – bez półtonów, pasteli, rozszczepienia widma. Na scenie Młodzieniec i Aligier rozpoczynają, jak w *Boskiej Komedii* Danta, podróż tam, gdzie traci się wszelką nadzieję. Idą, by zyskać wiedzę o świecie przez oglądanie miejsca w którym zgromadzono wszystkich występki, grzechy i całą podłość świata. W piekle chodzi o sprawy etyczne. Niemożliwe są niuanse, jak niemożliwy jest półcień między dobrem a złem. Tylko ciemność i jasność, tylko czerń i biel. Każdy, kto był w piekle, potwierdzi, że tak właśnie jest. To przeniesienie na scenę części „Sen” z *Niedokończonego poematu*. Na obrzeżach obrotówki zbudowano czarnymi bramami – jak w celtyckim Stonehenge – okrąg świata. Przed wędrowców i widzów oczami pojawiają się w otchłaniach coraz to nowe sceny. Sceny uciemiężenia ludzi przez pieniądz, przemoc i pleć. Nieszczęsny, nagi tłum.

Tu dygresja. Od poniedziałku, który poprzedzał sobotnią premierę nadawano w radiu ogłoszenia następującej treści: „Teatr Dramatyczny poszukuje młodych kobiet i mężczyzn do sceny piekiel w *Nie-Boskiej Komedii*. Scena inspirowana jest obrazem Hansa Memlinga *Sąd Ostateczny*. Wysokie wynagrodzenie”.

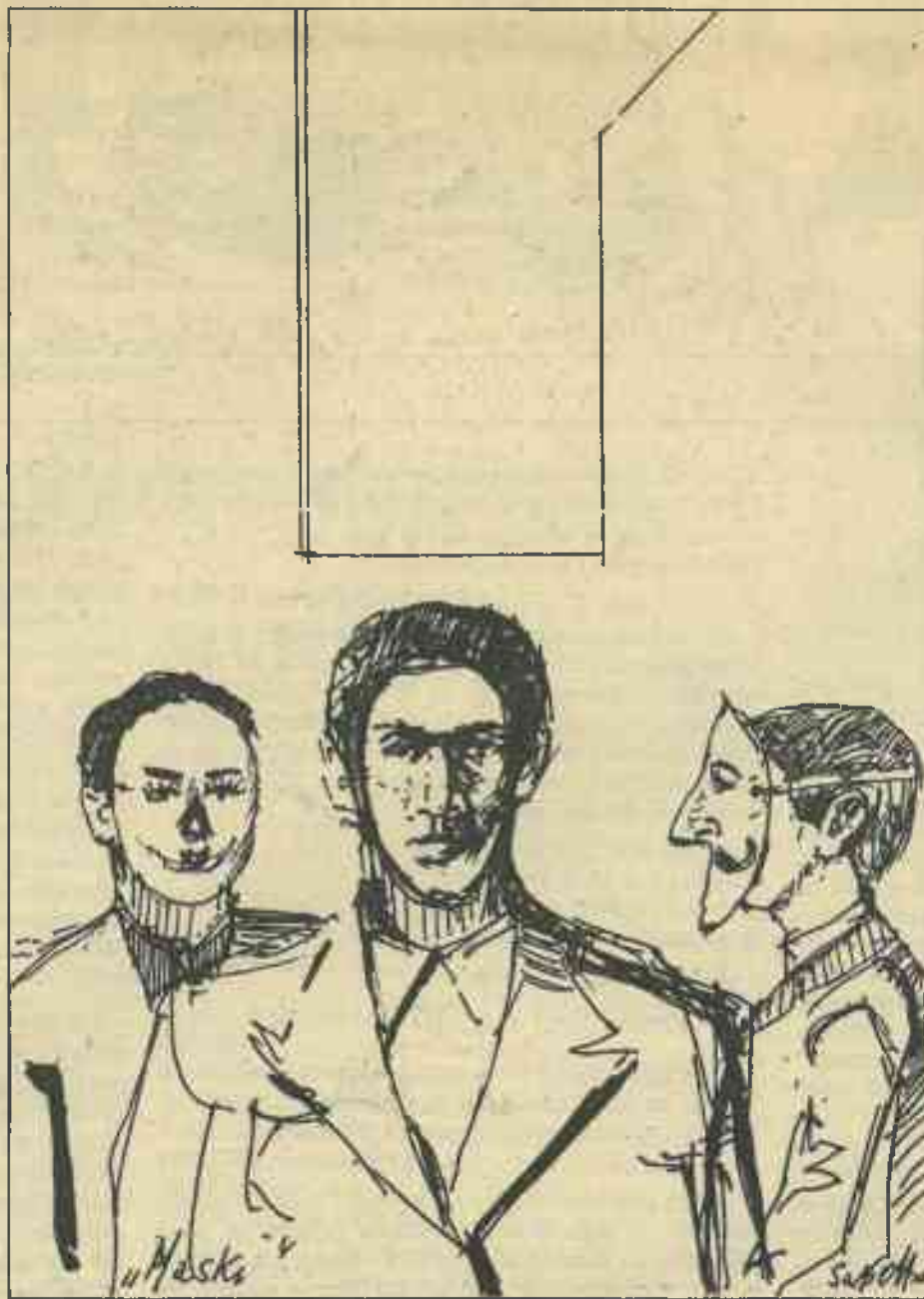
Mamy więc poświadczone przez dyrekcję, w każdym razie administracyjną, do jakich źródeł ikonograficznych chciano się odwołać. Nie jest to jednak ani to dzieło, ani ten czas. Czas dlatego, że czarny Chrystus (Antychryst?) tu ukazany jest Chrystusem ukrzyżowanym, nie zaś karzącym. Sąd ostateczny,

pieniądz, bo pieniądz tu rządzi. Tak przynajmniej twierdzi Bankier-Książę. Jest to ziemskie wcielenie Szatana, jednocześnie najlepsza (w istocie jedyna) kreacja aktorska tego spektaklu, wspaniała, zapadająca w pamięć rola Jarosława Gajewskiego. Nie wygłasza on wielkich tyrad, ale znakomitym ruchem, wystudowaną grą z rek wizytem, niustanną obecnością – to w pierwszym to w drugim planie – wypowiada się całkowicie czytelnie. Będzie nam od tego momentu towarzyszył niemal do końca. Antycypuje bowiem i reżyseruje każdą akcję. Kiedy długimi susami przemierza okrąg sceny, czujemy wyraźnie, że to jego kroki odmierzają rytm czystości, myśli, pragnień innych postaci. Jest Orłem na grzbiecie hrabiego Henryka, jest ciemnością, która spada na Orcia, jest fellow-travellerem w obozie rewolucji. U Krasińskiego szatan, zło jest rozproszone,

dzić nie może. To nie szlachcie trzeba wyróżnić, lecz uszlachcić lud, czyli dźwignąć go na wyższy, lepszy, poetyczniejszy poziom.

W drugim akcie jesteśmy w domu rodzinnym hrabiego Henryka. Znika dwukolorowy kostium sfer piekielnych. Błyszczy biskupi ornat i infuła, świecą generalskie akselbanty i sute epolety. Tylko właściwe dramatis personae nie są w stanie wyjść z piekielnego kręgu dobra i zła, kręgu kontrastów.

Nie-Boskiej Komedii streszczać nie uchodzi. Przy okazji innego dramatu drzemiący na widowni Franc Fiszler, powiedział, że to każdy kulturalny człowiek znać powinien. Zamiast tego więc chciałbym zwrócić uwagę na braki i niedociągnięcia tego wspaniałego zamierzonego, odkrywczego intelektualnie przedstawienia. Nic mu nie jest w stanie zaszkodzić, a parę zabiegów mogłoby pomóc.



MAREK SAPIETTO

O dramaturgii współczesnej

rozmowa z Tadeuszem Bradeckim

Natalia Adaszyńska: Jako reżyser i dyrektor „Starego Teatru” w Krakowie ma Pan stały kontakt z twórczością współczesnych dramaturgów. Jak ocenia Pan jej poziom?

Tadeusz Bradecki: Nie czuję się do końca kompetentny, by móc w pełni obiektywnie to ocenić. Oczywiście nasz teatr utrzymuje bardzo żywy kontakt z „Dialogiem”, który jest głównym punktem informacji o nowych tekstach. Teatr jest też zarządzany różnymi twórcami, ale nie wiem na ile ta próbka jest reprezentatywna dla całego kraju. Teksty owe można z grubsza podzielić na dwa rodzaje. Jedne — jest ich najwięcej — to ewidentna grafomania. Drugie — zdarzające się czasami teksty niegrafomańskie, pisane głównie przez ludzi młodych. Są one jakąś propozycją. Jeżeli nie rzuca się na nie entuzjastycznie (choć może popełniamy błąd) to przede wszystkim dlatego, że wszystkie one bazują na dość starych konwencjach. Ani teatr nie pali się do uprawiania tego rodzaju dramaturgii, ani publiczność jej nie oczekuje. W dzisiejszych czasach wymaga się od autora za każdym razem nowej recepty. Nawet ciekawy pomysł, poważny problem wtłoczony w konwencje Rittnera czy Zapolskiej na dzisiejszej scenie nie ma racji bytu. Jest chyba jeden kraj w Europie, gdzie ten problem nie istnieje — Anglia. To wynika z tradycji. Tam ciągle wystawianie nowych sztuk jest rzeczą oczywistą. Ukazuje się tysiąc utworów wartych wzięcia pod uwagę i naturalnie dziesięć z tego musi być dobrych, a trzy mogą być bardzo dobre. Mieszanka zawodowstwa, wy-

czucia, reakcji na bieżące napięcia i wysooka świadomość pisania powodują, że mimo braku nowej formuły, propozycji na skalę nowego Szekspira, to idzie. Np. Dawid Hare — tamtejszy hit sezonu nie jest wcale rewolucjonistą w sensie formalnym. Korzysta ze starej konwencji, ale jest prawdziwym zawodowcem. Takiej skali profesjonalizmu u nas nie ma.

Proszę wobec tego powiedzieć jakie widzi Pan możliwości polepszenia tej sytuacji.

— Sądzę, że gdyby nie młody Jarocki, który postawił na Stanisława Różewicza, to nie mielibyśmy dramaturga Stanisława Różewicza. Ryzykuję taką hipotezę, nie jestem tego pewien, nie chciałbym nikogo skrzywdzić, a już zwłaszcza Stanisława Różewicza. Ale wiem jedno: świetny reżyser który stawia na nową formułę i autor który zaufa temu reżyserowi to jest właściwe sprzężenie! A więc po pierwsze — chciałoby się więcej współpracy, większej inicjatywy ze strony reżyserów. Ale z próżnego i Salomon nie należy — dlatego powtarzam, że od autorów chciałoby się pewnego poziomu proponowanej rozmowy. Jeśli reżyserzy odzegnają się od ofert dramaturgów, to nie zawsze dlatego, że ich interesy nie pozwalają im inwestować w nowy tekst. Nie wierzę byśmy mieli jakiegoś Szekspira a nikt nie chciałby zaryzykować dla niego pieniędzy.

Czy Stary Teatr będzie mimo wszystko próbował umieszczać w swym repertuarze pozycje współczesnych twórców?

— Tak. Pojawiają się u nas teksty, które będą premierą w Polsce. Nie wszystkie

powiniennem zdradzać, bo nie wszystkie plany zapewne uda się zrealizować. Po- wiem więc tylko o tym, co wiem na sto procent.

Na początku przyszłego sezonu reżyser Robert Scanlan — reprezentant jednej z najpoważniejszych firm amerykańskich Repertuary Theater — pojawi się u nas wraz z jedną ze sztuk Dawida Mameta, znanego w Polsce z jednego przekładu, a w tej chwili bardzo mocno obecnego na wszystkich scenach świata. Osobiście widzę go jako post — Pintera, jako twórcę z nurtu ostrego hiperrealizmu. Ale większość jego sztuk jest tak mocno osadzona w realiach amerykańskich, że mam ob- rzemie wątpliwości czy może to nas interesować inaczej niż tylko jako egzotyka.

Po drugie myślimy o wspaniałym tekście młodego, półdebiutującego dramaturga angielskiego (w zeszłym roku odznaczono go nagrodą za najlepszy debiut). Ale tu ugryzę się w język, i więcej nie powiem, żeby nie zapeszyć. To jeszcze zbyt daleka przyszłość.

I po trzecie — lada moment premiera „Godziny kata” Enquista. To na razie wszystko co przed nami.

— *A za Wami premiera najnowszej sztuki Janusza Głowackiego „Fortynbras się upił”. Może kilka słów o tym.*

— To była polska prapremiera. Uważam, że przy wielu zastrzeżeniach i wątpliwościach „Fortynbras” jest jednym z najciekawszych tekstów jakie powstały w ciągu ostatnich lat. Na bezrybiu to naprawdę coś. Na bazie tego materiału jestem w stanie wyobrazić sobie napraw-

dę sensowne przedstawienie. Na jakości naszej realizacji natomiast zaważyło pewne nieporozumienie — może zbyt mocno zasugerowana przez tekst instynktowna chęć traktowania tego w Polsce jako groteskowej komedii. Sądzę, że o wiele lepiej byłoby potraktować tę sztukę ze śmiertelnym szekspirowskim serio, również na poziomie stylistyki przedstawienia. Teraz po premierze widzę, że największym błędem naszego przedsięwzięcia było owo programowe podejście do „Fortynbrasa” od strony komediowej.

— *Tekst ten Stary Teatr otrzymał bezpośrednio od Janka Głowackiego. Zazwyczaj jednak głównym źródłem importu nowinek z zagranicy jest „Dialog”.*

— „Dialog” — i szeroki krąg ludzi z nim związany — to jest firma na skalę europejską. Firma o ogromnej i bieżącej orientacji w tym, co dzieje się we współczesnej dramaturgii na świecie (a przynajmniej w Europie). Więcej: wielu tłumaczy związanych z „Dialogiem” wyprzedza zainteresowanie teatrów — błyskawicznie reaguje na nowości zagraniczne i oferuje je dyrektorom. Efekty tego widać. W Warszawie Współczesny, Ateneum i Studio prezentują przynajmniej jedną, dwie pozycje zachodnie w ciągu sezonu.

Za chwilę polski teatr odkryje Tabory’ego. Już drugi jego tekst drukuje się w „Dialogu”, będzie — jak myślę — sześć, siedem przedstawień w sezonie. I dobrze — to jest to, co się „nosi” w niemieckim obszarze językowym. Ale jak to ma się do nas? Problem, który wiąże się z importem to dylemat: czy ma być on jedynie rewią tego co modne w Londynie i Paryżu, czy żmudnym — niemalże nie do zrealizowania — poszukiwaniem tekstów, które nas tu i teraz poruszają. Dlatego sądzą, iż z całą pewnością mamy obowiązek pokazywania tego, co dzieje się za granicą, ale nie wyobrażam sobie oparcia repertuaru na tym jedynie.

rozmawiała Natalia Adaszyńska

muzyka

Deutsches Klavier Festival

8 stycznia — przedostatni dzień Deutsches Klavier Festival, festiwalu młodych niemieckich pianistów zorganizowanego przez Goethe Institut w Akademii Muzycznej w Warszawie. Recital Bernd Glemsera. Wspaniały muzyk; jego elegancja interpretacji łączy wielką wrażliwość i delikatność z siłą brzmienia i precyzją wykonania. Szczególnie zachwycają szybkie partie utworów; słynny krytyk nowojorski Harold C. Schonberg nazwał go „technikiem o randze światowej z wielkim bogactwem idei i niezależnego muzycznego wyczucia”. Glemser zagrał Haydna, Schuberta, Liszta i Brahmsa. Nie słyszałem niestety poprzednich pięciu pianistów (każdemu z nich poświęcono jeden wieczór), ale na szczęście 9 stycznia odbywa się finał festiwalu i występują wszyscy razem, jest więc wyjątkowa okazja posłuchać znakomitości, bo każdy z nich jest laureatem kilku międzynarodowych konkursów pianistycznych, a poza solowymi recitalami mają już za sobą występy ze znanymi w świecie orkiestrami, nagrania płytowe, nagrania dla radia i telewizji — a jeszcze więcej przed sobą, sądząc z poziomu całego koncertu. Ale po kolei — na początku Wolfgang Manz zagrał z ogromnym wyczuciem formy i nieskazitel-

Krzysztof Knittel

ną techniką Sonatę Nr 4 Fis-dur Skriabina, potem utalentowany Rolf Plagge (wśród wielu innych nagroda na liczącym się konkursie im. Czajkowskiego w Moskwie) wykonał Scherzo Nr 4 E-dur Chopina. Następnie Konstanze Eickhorst, która już w wieku 20 lat zdobyła Grand Prix na konkursie w Montreux, a potem wiele innych nagród, przedstawiła Sonatę melancholique fis-moll mało znanego w Polsce Ignaz Moschelesa. Z kolei młodzieńki i żywiołowy Lars Vogt zagrał interesująco Dumkę, Scene rustique ruse op. 59 Czajkowskiego, a po nim Bernd Glemser wykonał salonowe „Soirée de Vienne” Schuberta-Liszta. Wreszcie jako ostatni zaprezentował się Thomas Duis w Mephisto-Walzer Liszta i słuchając go po dwóch — trzecich utworu pomyślałem o nim „geniusz”, po czym Duis akurat pomylił się lekko, co wcale nie przeszkodziło mi dalej zachwycać się jego naturalnością frazy, cudownym poczuciem czasu i brawurową wirtuozerią. Później wystąpił jeszcze duet Manz — Plagge wykonując czwartą część Rhapsodie Espagnole „Feria” Ravela i nastąpiła przerwa, a po niej Hexameron Frauza Liszta i innych romantycznych pianistów — kompozytorów zaproszonych w swoim czasie do skomponowania wariacji na temat marsza z „I Puritani” Belliniego. Salonowa atmosfera pojedynku, wszyscy pianiści cały czas obecni na estradzie i zmieniający się przy fortepianie. Wystąpili: Liszt-Duis, Thalberg-Manz, Pixis-Vogt, Herz-Eickhorts, Czerny-Glemser, Chopin-Plagge. W tym wirtuozowskim zderzeniu dźwięków

z przeszłości (choć dla wielu melomanów są one najbardziej aktualną muzyczną terażniejszością) z wyobraźnią muzyków znających kompozycje komputerowe, tradycje muzyczne wszystkich regionów świata, jazz, rock i muzyką intuicyjną — model salonu zachował pewien urok i smak bezpiecznej zabawy ze stylami i konwencjami muzycznego muzeum. Należy pogratulować dyrektorowi Instytutu Goethego w Warszawie, panu dr. Stephanowi Nobbe tak udanej premiery w działalności jego placówki.

Bąkowski i Kapuściński w Filharmonii

15 stycznia — koncert Krzysztofa Bąkowskiego (skrzypce) i Jarosława Kapuścińskiego (syntezator) w Filharmonii Narodowej. I znów dużo muzyki niemieckiej, tym razem w wykonaniu znakomitego polskiego duetu znanego mi już z ubiegłorocznej Poznańskiej Wiosny. Na początku VI Sonata G-dur na skrzypce i klawesyn Jana Sebastiana Bacha. Partia klawesynu została opracowana przez Kapuścińskiego na syntezator Oberheim. Za drzwi sali koncertowej brzmiało świetnie, niestety panie oddźwięczne w filharmonii są bezlitosne i nawet po pierwszym Allegro nie wpuściły na salę — „jak będą brawa to pan wejdzie”... Następnym utworem w programie był Zodiak Karlheinz Stockhausena, kompozycja napisana w latach 1975-76. W trakcie słuchania machinalnie zapisywałem coś na okładce programu i wyszedł mi z tego surrealistyczny horoskop: Wodnik na 3/4; Ryby pluskają diatonicznie bez wyraźnego

rytmu; Baran długi, gwałtowny i agresywny; Byk sentymentalny, piękny (cudny) i nudny; Bliźnięta zaczęte (poczęte) w unisono, potem się rozchodzą; Rak skrzypcowy pływa w syntezatorze, na końcu woda ulatuje w górę; Lew bohaterski pod każdym względem — barwy, melodii i rytmu; Panna tańczy jak przy pozytywce — delikatnie i wdzięcznie; Waga też pozytywna; Skorpion z prawdziwym żądlem barw i glissand — bogactwo „zjadliwości” muzycznej; Strzelec (obaj soliści są spod tego znaku) w barwach dzwinkowo-sinusowych; Koziorożec jest statyczny (stateczny), sentymentalny i konsekwentny do upojenia. Granie wyśmienite pomimo przeszkód trochę hałaśliwej, bo młodej i w większości licealnej widowni. Sala była pełna a brawa gorące.

W drugiej części koncertu collage z utworów Fritza Kreislera i Roberta Morana — dobry zamysł i mistrzowskie wykonanie, a na końcu najciekawszy utwór wieczoru — Chagalliana część I Jarka Kapuścińskiego. Prawykonanie utworu odważnego i wartościowego. Odważnego, bo niewielu kompozytorów decyduje się dzisiaj na łączenie różnych mediów i konwencji dźwiękowych i rzadko kto w tak prostolinijny sposób mówi (dosłownie) o sprawach ważnych. A muzyka wartościowa bo świetnie skomponowana, utrzymująca słuchaczy w ciągłym napięciu i oczekiwaniu. Biblijny temat był pretekstem do swoistej obserwacji świata słów, dźwięków, wspólnej egzystencji tego co stworzyła myśl muzyczna z tym co dźwięczy poprzez samo istnienie... Słowo „krowa” to tylko nazwa, dźwięk „muü” to tylko dźwięk, a zdania proroka są tylko słowami i dziedzictwem pewnej kultury, choćby nawet brały się ze świętej księgi. W pozostawianiu „dzieckiem w dorosłym” można odnaleźć wdzięczny powód miłości do muzyki. ■

Jerzy Tchórzewski

Nawróceni i odwrócenia...

dokończenie ze s. 1

tego namalować, czego im nie odrzucał lub za co ich nie wyrzucał, ale o laurach raczej nie marzyli. W Sopotach natomiast była grupa malarzy, którzy do socrealizmu mieli w naszej sztuce średnią pozycję, a teraz usiłowali dostać się na szczyt Olimpu. Postanowili robić socrealizm „uczciwymi” malarskimi środkami. Ale jak można robić coś nieuczciwego uczciwie? Ich obrazy były rzeczywiście trochę lepiej malowane niż prace socrealistów na radziecką modłę, ale tak czy owak były to złe obrazy. Ja z Wojtkiem Fangorem doszliśmy do wniosku, że w ostatecznym rachunku są oni bardziej groźni od tych socrealistów „na całego”, bo stwarzają pozory, że robią sztukę, że socrealizm może być sztuką, i dlatego ich trzeba zwalczać w pierwszym rzędzie. Wojtek był już prawie nawrócony na sztukę bez ideologicznego przymiotnika (w pewnej mierze przeze mnie), czyli „odwrócony” od socrealizmu, czego się jeszcze nikt nie domyślał, toteż jemu, powszechnie uchodzącemu za czołowego socrealistę, wolno było o wiele śmieiej niż innym krytykować; władze traktowały to jako wyraz troski o losy socrealistycznego realizmu. W swoich wspominkach o Tadeu Brzozowskim i Marysi Jaremiance pisałem o tym, jak uważnie śledziliśmy te smutne perypetie naszej sztuki, jakkolwiek nie braliśmy w nich czynnego udziału. Jedno, co mogliśmy zrobić to „dzwersję” i to ostrożnie i sprytnie, tak jak ja ją robiłem w Warszawie. A śledziliśmy to, co się działo, przede wszystkim z prostej ciekawości i potrzeby pokrzepienia serc piętrzącymi się coraz bardziej idiotyzmami oficjalnej sztuki. Tak, bo one chyba bardziej rozbawiały niż przerażały i jakkolwiek ten monstrualny absurd stał na mocnych nogach i nikt z nas nie bawił się we wróżby kiedy się wywróci, podświadomie jednak liczyliśmy na to, że to nastąpi, że to kiedyś musi nastąpić, zbyt to było śmieszne i głupie, aby się mogło utrzymać. Dlatego też na „dyskusje” o sztuce, odbywające się podczas socrealistycznych Salonów (Ogólnopolskich Wystaw Plastyki), przyjeżdżali Kantor, Marysia Jaremianka i inni, chociaż w tych imprezach i w tych „debatach” nie brali udziału. Słuchaliśmy a potem w swoim gronie zaśmiewaliśmy się serdecznie, było to zdrowsze i mądrzejsze od lamentowania. Pomijam to, co we wspomnieniach o Marysi Jaremiance napisałem i o dyskusji na III Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki, uzupełnię tylko obraz tej komicznej imprezy. Eibisch wychodził z siebie, żeby zatruć na tej wystawie, żeby dostać pierwszą nagrodę. Namalował chyba największy i najzabawniejszy obraz swego życia „Lenin i Spójniacy”. Starał się namalować ten obraz realistycznie, ale malował go swoją postimpresjonistyczną paletą i manierą, bo inaczej nie potrafił. Gdyby jeszcze umiał rysować, ale kolorysty lekceważyli rysunek, który w ich przekonaniu z kolorem nie zgadzał się, toteż niemało miał trudności, żeby Lenin był podobny do Lenina, żeby Spójniacy nie byli z kolorowej „mgły i galarety”, no i żeby między wodzem rewolucji i jego wyznawcami coś (wiadomo co) się działo. O kompozycji kolorysty również nie mieli pojęcia. Toteż Lenin z fioletowym nosem, niby oparty o poręcz krzesła, robił wrażenie, że się przewraca do tyłu, a Spójniacy grali swoje role zapatrzenia w wodza i zasluchania w jego słowa jak kiepscy aktorzy – niezgrabnie, sztywno i fałszywie. Niezliczone plamki koloru w charakterystycznym ciepłym eibischowskim sosie rozrzedzały atmosferę tej sceny, w której niby się coś działo a właściwie nic się nie działo poza jakąś osobliwą malarską maliną. Obraz ten był podwójną karykaturą – karykaturą malarstwa Eibischa, czyli – niezależnie jak kto je ocenia – sztuki prawdziwej, i tej

nieprawdziwej, czyli socrealistycznej – toteż stał się przedmiotem żartów zamiast „służyć sprawie rewolucji”. Ale Eibisch był święcie przekonany, że stworzył dzieło „godne naszych wielkich czasów”. Jury miało nie lada orzech do zgryzienia. Z jednej strony ta ideowa deklaracja Eibischa była dla władz ogromnie ważna, z drugiej jednak forma tej deklaracji wprowadzała ją w duże zakłopotanie. A kandydatów do nagrody było wielu. Krajewski po radziecku namalował obraz „Ziemia chłopom”, Strumiłło wielki obraz „Za walkę o chleb”, trochę lepiej namalowany od innych, Kobzdej „Kamieniarzy” itd. Ostatecznie pierwszą nagrodę przyznano, o ile się nie mylę, Krajewskiemu, Eibisch dostał drugą, Strumiłło bodajże trzecią. W każdym razie Eibisch ten afront władzy ludowej o mało nie przypłacił życiem. Przy najmniej się tak zachowywał, jakby to był gwóździć do jego trumny. Ale on, pamiętam, trzymał się za serce już w 1946 roku jako rektor ASP w Krakowie (miał wtedy 48 lat,

W pewnym momencie zaczął iść chwiejnym krokiem wzdłuż stołu. Sala zamarała. Wszyscy myśleli, że zrobiło mu się słabo, że schodzi z za stołu przydzielonego. Eibisch podszedł wolno do końca stołu – niedaleko od tego miejsca wisiał na ścianie obraz Krajewskiego – zatrzymał się i wskazując palcem obraz, zwrócił do Sokorskiego, drżącym ale podniesionym głosem powiedział: „Panie ministrze, to nie jest malarstwo, to jest kicz!” Po zejściu pokrzywdzonego geniusza ze sceny powstrzymywany oddech widowni wrócił do normalnego rytmu a na wielu twarzach pojawiły się uśmiechy. Bo, oczywiście, Eibischowi nie tyle chodziło o sztukę, co o swoją sztukę, swoją sławę. Niemniej jednak dyskusja ożywiła się i zabierający głos zrećniej lub mniej zrećniej, wyraźniej lub mniej wyraźniej, zaczęli naciągać na Sokorskiego, zaczęli krytykować. Było to jeszcze bardzo ostrożnie i miało przeważnie charakter dochodzenia własnych krzywd, ale działo się to po raz pierw-



Eugeniusz Eibisch. Spójniacy w Laminie. Ojciec

a że był dobrym aktorem wszyscy skakali koło niego w obawie o jego życie, które, jak się okazało, miało trwać bardzo długo, przeszło 90 lat). Wtedy jednak dał taki pokaz gry aktorskiej, jakiego się nie zapomina. Po przemówieniu Sokorskiego, w którym omawiał on i uzasadniał werdykt jury, zabrał głos Eibisch. Wszedł na podium wolnym, chwiejnym krokiem. Trzęsącą się ręką wziął szklankę z wodą, podniósł ją do ust i zaczął mówić słabym, drżącym głosem człowieka stojącego nad grobem (miał wtedy bodajże pięćdziesiąt parę lat). Z drwiną, sarkazmem i wielkopańską pobłażliwością wynikającą z przekonania o prawdziwości swoich słów i niemożności zrozumienia jej przez ignorantów, do których je adresuje i wobec których jest bezradny, krytykował Sokorskiego i te wszystkie okropieństwa, jakie się dzieją. Krytyka ta dotyczyła wyłącznie praktyki nie „religii”. Robił to znakomicie. Gdyby wystąpienie jego nie było podkrotowane urażoną ambicją, a aktorsko było tak znakomite, że nie robiło takiego wrażenia, każdy byłby przekonany – i rzeczywiście w tym momencie był przekonany – że słucha człowieka, który cierpi za całą pokrzywdzoną i zagrożoną sztukę, domaga się sprawiedliwości, przeżywa to pohańbienie sztuki tak dotkliwie, że może nawet przypłacić to życiem, że lada chwila może dostać ataku serca. Doprawdy baliliśmy się, że może to nastąpić. Eibisch co jakiś czas robił pauzy, drżącą ręką wkładał palec do szklanki i zwilżał nią usta. Niekiedy opierał się o stół i nachylał w kierunku siedzącego w pierwszym rzędzie Sokorskiego, adresując bezpośrednio do niego swoje słowa.

Dotąd potakiwano jedynie, klaskano, teraz tu i ówdzie do głosu doszła drwina, żart, jak choćby w zabawnym wystąpieniu Konstantego Mackiewicza, które parokrotnie wywoływało burzę śmiechu. Ale najmocniejsze – jak na tamte czasy – było wystąpienie Fangora. Nie pamiętam jego słów dokładnie. Mówił w każdym razie to, co przegadaliśmy gruntownie w naszych prywatnych rozmowach. Mówił to, oczywiście, w takiej formie, która była do przyjęcia w wypowiedzi publicznej, choć nie ulegało wątpliwości, że Fangor podważa główne założenie socrealizmu... Że sztuka ma swoje prawa, że obraz musi je spełniać i powinien być oceniany jako obraz, jako malarstwo, a nie jako wizualna forma propagandy. Że on chce rywalizować na przykład z Pronaszką, chce mu się nawet przeciwstawić i polemizować z nim, ale jedynie swoim malarstwem, czyli argumentami artystycznymi a nie politycznymi, bo taka impreza jak Ogólnopolska Wystawa Plastyki powinna być konfrontacją różnych koncepcji artystycznych, a nie konkursem hasel propagandowych itp. Wojtek zebrał za swoje przemówienie wiele gratulacji (m.in. Pronaszki) a ja cieszyłem się w duchu, że wnioski z naszych prywatnych rozmów pierwszy raz publicznie zostały wyartykułowane, jeszcze delikatnie, ale już głośno, prosto w twarz tym, którzy podobne myśli i słowa traktowali dotąd jako zdrożne, a nawet wrogie. To socrealistyczne nabożeństwo, na którym po raz pierwszy odezwały się, nieśmiało jeszcze, heretyckie głosy, zakończyło kazanie Sokorskiego z refrenem „musimy sobie jasno i otwarcie powiedzieć...” nie pamiętam

co, wiadomo co. Pamiętam natomiast wyraźnie następującą scenę: – koniec obrad, Zachęta pustoszeje, już prawie nikogo nie ma w matejkowskiej sali, tylko w którymś tam rzędzie siedzi malutki, skulony Dunikowski i nie rusza się z miejsca. Kantor mówi do mnie: – Chodź, weźmiemy Dunikowskiego do „Bristolu”.

Podchodzimy do niego. – Co pan, profesorze, tak siedzi uparcie, już wszystko wiemy – mówi Kantor.

– A, proś pana, ja tak siedzę i siedzę, i boję się ruszyć, bo tyle oczu na mnie patrzy – odpowiada Dunikowski pokazując wiszące na ścianach portrety przywódców politycznych, przewodowników pracy itp.

– Chodźcie, chodźcie – poderwał się nagle z krzesła – idziemy na wódkę, bo mi w mózgu zaschło.

Poszliśmy we trójkę do „Bristolu”. Rozmowę rozpoczął Dunikowski. – Proszę panów, jak byłem w Marsylii, to dostałem świetne zamówienie. Tam był duży burdel. Jego właściciel poprosił mnie, żebym mu w restauracji zrobił długi fryz dookoła sali, takie gołe dziwki, gołe dziwki. Dawał mi za to dużo pieniędzy. Miałem tam wikt jak książe, no i najpiękniejsze dziewczynki za darmo. Ale jak się raz wturcił do mojej pracy i kazał mi coś zmienić, to zuciłem to wszystko z miejsca. Nawet tych dziewczyneczek nie zafowałem. A tu taki Sokorski mustruje artystów jak parobków.

Siedzieliśmy w „Bristolu” do drugiej czy trzeciej w nocy i sporo wysuszyło się kieliszków. Dunikowski kpił – a on to umiał robić – z występów „kapłanów” i wyznawców socrealizmu, ale nie pamiętam jego jadowitych komentarzy. Zapamiętałem natomiast opowieść z jego oświecimskich przeżyć. Zwłaszcza jedna jest prawdopodobna, bo nigdy nie było wiadomo, czy Dunikowski zmyśla, czy mówi prawdę. Dlaczego nasza rozmowa, której powodem i przedmiotem były te socrealistyczne obrady zahaczyła o jego oświecimskie wspomnienia? Prawdopodobnie Dunikowski chciał przez to powiedzieć, że nawet w najokrutniejszych sytuacjach artystów otaczano opieką, że w miarę możliwości pomagano, że ich chroniono.

– Ja miałem, proś panów, psyjaciela w kuchni obozowej. Jak miała być łapanka do gazu, to on mnie ostęgał i ukrywał w tej kuchni. Raz, pamiętam, psyliciał do mnie i mówi: – chodź, bo zaraz Niemcy będą wybierać do gazu. W tej kuchni jedna ściana była zawieszona kotarami, a za tymi kotarami były w muze takie wielkie suflady na mąkę. Kazał mi wejść do jednej pustej suflady. Leżę w niej, leżę z podkulonymi nogami, tważą do góry. W pewnym momencie słyszę, jak esesmani wpadają do kuchni z wżaskami, żeby sprawdzić, czy się tu ktoś nie ukrywa. A ja, proś panów, kstusuję się, bo mnie pył z mąki tak wierci w nosie, że nie mogę wytsymać. Cuję że to śmierć, ale na nic moje wysiłki. Kichnąłem. Niemiec sarpie za kotarę i gwałtownie wyciąga tę sufladę, w której leżę. Wbił we mnie rozściecony wzrok a ja na to: „A kuku!”. Niemiec się roześmiał i zasunął sufladę. Nawet taką bestię udało się zartem rozbroić...

To prawdopodobne; taka mała śmieszna figurka ze świdrującymi oczkami tym „A kuku!” mogłaby rozbroić samego diabła. Opowiadał też Dunikowski drugą swoją obozową historię, która wydała mi się mniej prawdopodobna, toteż niewyraźnie ją pamiętam. Jaka szkoda, że tej naszej wielogodzinnej rozmowy z Dunikowskim nie można teraz posłuchać z taśmy magnetofonowej. Pamięć, nawet najlepsza, zachowuje tylko małe fragmenty dawno przeżytych spraw. A swoją drogą stałe wraca pytanie, dlaczego nawet taki Dunikowski, który w ten socrealizm nie wierzył, sztywno z tej potwornej bzdury głośno, otwarcie i... bezkarnie, bo liczone się z nim i chyba nie ośmielono by się „skrzywdzić” Mistrza, dlaczego nawet on w tym „interesse” palce maczał. Nie bał się pyskować a bał się (czy rzeczywiście bał się?) „nie istnieć” jako artysta. A że istnieć mógł jedynie za cenę uczestnictwa w tym „paskudztwie”, jak sam to nazywał, mścił się swoim ciętym językiem. ■

prezentacje

Wiersz wspólny

Deszcz przeciął nam drogę, biegliśmy,
coraz wolniej, a on kładł na twarze strzępki
gazet, żar modlitw, sine skrawki mięsa. I
nie wiedziałem kto czyści nad nami schorowane
płuca

* * *

Światło z warsztatów i piwnic wymywa słowa
spod nóg, spod powiek, czarną ślinę prowadzi do
ust; na bruk spadają strzępy rozmów z rozpalonych
okien, sosny trwają nad miastem kretowisk, kamienic, wątle
siostry tych z kraju płonących żywcem, kraju podwodnych
szybów, miedzi stygnącej w gardle, łokci wbitych w stół;
zmiętych kartek, wódki, niebieskich tęczęwek, które toną
w czystym płótnie szyldów.

(89)

Oczywiście

Oczywiście, nie do ustalenia, w sobotniej
sukience idzie ulicą, szminka tonie w strugach
wilgotnego wiatru. Asphalt jest miękki, dotyka
warg, piersi i płonie pościel, oczy wędrują
wzdłuż nóg. Szorstki dym przecina skórę i śluz,
paznokcie dławią się szeptem, błyszczą policzki i
palce, ogłuszone, poprawiają niedopięty guzik (zapięcie
torebki?) Pieką spojówki, głowa, odchylona notuje rytm,
kolor i krój bluzki. Teraz i za tydzień, oczywiście nie do
ustalenia

Ta poezja jest tak nieoczywista, tak nie
narzucająca się i nie kłująca oczu barwno-
ścią, wysokością, głębią, że można jej nie do-
strzec. Ani nie epatuje, ani nie drażni. Ani to
przypych, ani nęcza. Przy ponownej lekturze
wyjawia swój walor. Ale i to nie nachalnie. Bo
jej walor nie wylania się, jak zazwyczaj, z prze-
ciwstawienia, skonstrastowania czy choćby ze-
stawienia barw, plam, myśli, emocji, ale z ich
wzajemnego przenikania, przemieszania, zła-
nia się w jedno. Poeta instynktownie czy
umiejętnie operuje szarością, światłocieniem
półmierzchu, półświatu, mówi półszepem,
półgłosem. Jakby się uczył pisać wiersze od
muzyki Lutostawskiego.

Marcin Sendek należy do licznej dzisiaj
progenitury Lukrecjusza. Ale wyosobnia się
w tej branży. Zajmuje własne miejsce. Swoje
De rerum natura układa bez ambicji kreacyj-
nej. Zdumiewa czym innym niż jego rówieśni.
Nie usiłuje poprawiać, rekreować, na miejscu
starego wznosić nowy świat pejzażu, rzeczy,
siebie. Nie popisuje się ani swoim bywałstwem
w świecie, ani swoją przenikliwością widzenia.
To, co widzi, to, czego doznaje, nie jest pretek-
stem. Jest tym, czym jest. Poeta bierze niekiedy
rzecz do ręki, jakby miał zamiar coś z nią
zrobić, ale po namyśle stawia ją na dawnym
miejscu. Jakby chciał powiedzieć: łatwiej krea-
torem być, niż kreatorem nie być. Trudniej
rezygnować, niż iść za popędem naturalnym.

Kreacyjność jest istotnie naturalną funkcją
wyobraźni, która ma wszczepiony instynkt
przekory, potrzebę maksymalizmu, nadmiaru,
przesady, ekstremy. Od poezji oczekuje się
produktów tego instynktu. Od poezji oczeku-
jemy i spodziewamy się trzęsienia ziemi, wybu-
chów energii, kreacji i autokreacji poety. Nie
wyrzekam się takiego widzenia poezji, prze-
szłej i przyszłej. A przecież chwalebny Marcina
Sendekiego za wstrzemięźliwość. Może nawet
po raz pierwszy mi się to zdarza.

W tej poezji jest czułość aprobaty, uczucie
pogodzenia się ze stanem rzeczy, wyprowadza-
nie doznań rzeczywistości świata poza granice
estetyki pulchryzmu i turpizmu. Rzecz liryki
nie musi być ani piękna, ani brzydka, aby
wzruszać.

Dom poezji Marcina Sendekiego jest do-
mem bez kantów, bez wygod i stylowych
mebli. Rzeczy, emocje, myśli przenikają się,
przechodzą jedne w drugie naturalnie, bez-
boleśnie. Poeta dystansuje się do swoich do-
znań, nie ukrywa ich jako wstydlive i nie
eksponuje ich jako wyjątkowe. Ani nie za-
prasza w gości, ani nie odręca. Nad wejściem
do tego domu wisi domyślne ostrzeżenie: Wel-
come. Czujcie się jak u siebie. Rzeczy, gniewy,
myśli i smutki są wspólne. Nie składać ani
gratulacji, ani kondolencji.

Zbigniew Bienkowski



SENDECKI

JACEK GAWŁOWSKI

Marcin Sendek ur. w 1967 r. w Gdańsku. Student socjologii UW. W latach 1986-90 studiował na Wydziale Lekarskim AM w Warszawie. Publikował w „Radarze”, „Kresach”, „Po prostu”, „brulionie”, „Powściągliwości i Pracy”. Mieszka w Tomaszowie Lubelskim.

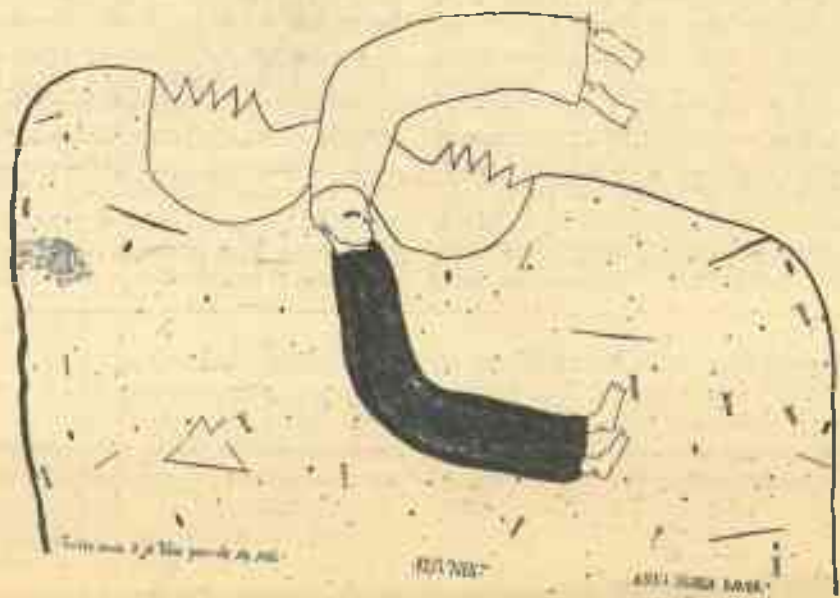
Bezczelnie bezcielesny, bezczeszczaco czysty

Parzący palce i usta śnieg, bezszelstny
walec zmiętego papieru, ten śliski temat
na łamiący się głos i dwa, trzy słowa
ukryte wśród zębów. Bezkarny dozorca,
gospodarz śliniacy wyrzucane przez okna
butelki, ten sypki dom zjadany przez koła,
manna wysypywana co rano gołębiom, ten
mroźny pożar w czarnych gardłach ulic,
dotkliwy, delikatny. Czy inny jest
Tam?

SENDECKI

Tym razem obędzie się bez ofiar

Będzie światło, nagle i podniosłe, pełne słońca i nowych, błyszczących butów. Tym razem mikrofony nie zawiodą, chłopcy będą radośnie pluć z balkonów i mięso, mięso ruszy ulicą, zapalimy paierosy od podręcznych zniczy. I tyle będzie słów, jasnych jak miedź, jak drzwi kościoła. Będzie święto, będziemy jeść ciastka
(89)



Z pewnością -

Z pewnością jest jeszcze za wcześnie, ale kiedy to miałyby się zacząć? Z pewnością nie teraz, na kilka minut przed siódmą, z pewnością nie tutaj, w pociągu relacji Warszawa-Lublin i może nawet nie z tymi ludźmi, których ósemka, nie wyłączając mnie, patrzy właśnie w okno, druk i oczy sąsiadów, chociaż ich kolor sprawdzić jest dużo łatwiej sięgając w kierunku torebki lub serca
(86)

Wiersze Marcina Senddeckiego zaskakują pewnością i spokojem konstrukcji. Nie ma w nich historycznych załamania frazy ani retorycznej rozlewności: jest zrównoważony oddech i dobrze ustawiony głos. Przy tym ich równowaga nie jest wcale równoznaczna z monotonią. Harmonia zdania wiąże się ze zdecydowanym oddzieleniem i przeciwstawieniem jego segmentów często wzmocnionym dwukropkiem. Harmonię całego wiersza poprzedzają mocne napięcia między składnią i wersyfikacją, napięcia wcielone w silne przerzutnie...

Dwukropek, intonacyjne cięcia, rozdzielające i hierarchizujące części frazy oraz przerzutnia, która zbliża i oddala zakończenie wersu z początkiem wersu następnego – to nie tylko zewnętrzne elementy poetyckiej techniki Senddeckiego. To także znaki podstawowego gestu (tematu?), organizującego jego wiersze. Jest nim przybliżanie się do granicy, do punktu przecięcia.

Czym jest ten punkt? Miejscem, w którym możliwość zmienia się w aktualność, przeszłość ucieka przed przyszłością, niewiedzę zastępuje pewność, ciemność rozbłyska olśnieniem, nienasyconie przekształca się w spełnienie. Ale także: miejscem, w którym marzenie ustępuje rzeczywistości, iluminacja okazuje się lichym blaskiem, a spodziewane oczyszczenie – faktycznym splugawieniem, zetknięciem ze złem:

Deszcz przeciął nam drogę, biegliśmy coraz wolniej, a on kładł na twarze strzępki gazet, żar modlitw, sine skrawki mięsa. I nie wiedziałem kto czyści nad nami
schorowane
płuca

Inaczej mówiąc – wewnętrzna dynamika wierszy Senddeckiego to dynamika zawieszenia, oczekiwania... „A ty czekasz, ty czekasz na jedno...” – mógłby powtórzyć ich bohater. Nie

wiem jednak czy chciałby, czy miałby prawo skończyć przywołaną frazę: „co twe życie wzniesie nieskończenie”. Nie wiem, bo także Senddecki nie jest pewny tego, co będzie gdy „życie – odłożone na później” stanie się życiem realnym, a pytania zostaną zastąpione przez odpowiedzi. Znamienne, że wiersz Senddeckiego, który szczególnie jasno wyraża wspomniany przed chwilą gest zbliżania się do granicy, mówi nie o wznoszeniu, lecz o schodzeniu „Z wysokości”. „Z wysokości drugiego piętra” w przypadkowość i nieokreśloność codziennej egzystencji.

2.
Ład i dramatyzm wierszy Senddeckiego to w sporej mierze konsekwencja korzystania z dykcji obecnej już, (a w dodatku: istotnej) w poezji ostatnich kilkunastu lat. Przy czym odwołania do głosów Stanisława Barańczaka i Bronisława Maja (one właśnie są najmocniej słyszalne w tych wierszach) to nie tylko kon-

tinuacja ich języka, lecz także polemika z ich widzeniem świata.

Podtrzymując metodę poetyckiej analizy świata, usiłuje Senddecki przekroczyć horyzont pytań i rozstrzygnięć, znamienych dla poprzedników. W tej jednoczesności kontynuacji i sprzeciwu dostrzec można rys poezji, która pragnie przyspieszyć zasadnicze cięcie w obrębie języka i świadomości... Kiedy pomyśli się o latach 1985-1989, stanowiących realne odniesienie wierszy Senddeckiego (i w sposób naturalny rozstrzygających o sposobie rozumienia przezeń sztuki) – to pragnienie, podobnie jak wspomniane poprzednio gesty zawieszenia i oczekiwania, staje się łatwiejsze do zrozumienia...

Pozostaje pytanie: czy wiersze Senddeckiego, tak mocno tematyzujące oczekiwanie na przemianę, potrafią się wyzwolić z kręgu tego jednego problemu? Czy pragnienie nowej poezji przekształca w poezję samą? Oby tak było.

Marian Stala

Wdech, wydech

W świetle deszczu, który jest z nami od wczoraj, na placu: w pół drogi do wapieni i margli: kobieta w żółtej kurtce, mokry chleb na wysokości kolan. Dobry, jasny dzień

Z wysokości

Z wysokości drugiego piętra widać parking, wieżyczki cerkwi i łuski tynku na ciele zmieniających skórę bloków, dalej, za ścianą, ludzie przemierzający ulice połykają sylaby, wstążka deszczu zaciska się na krtani, schodząc widzisz dzieci wbiegające w obręcz kałuży, krople na ich spoconych twarzach i słyszysz, już za plecami, komendy siedmioletniego dowódcy, dalej, zatrzymujesz się, płótno parasola, dotknięte od dołu, przemaka, mokre włosy krzepną, ukryty w kurtce wilgotny banknot z Waryńskim drży z zimna, za chwilę wydasz go, oddasz za zapałki i tytoń: tak jakby ten kiosk był siedzibą Ochrony lub kantorem wymiany żywności z witrynami zapchanymi płachtami papieru, który próbuje trzymać Boga w garści: to wszystko, jest lipiec, życie – odłożone na później – składa się w kostkę i mieści w wewnętrznej kieszeni

Do zobaczenia w wolnej Polsce

Lewa wolna Józefa Mackiewicza

dokończenie ze s. 5

kiego z gruntu obojętny. (...) Zgodne bowiem uderzenie kontrrewolucji stanowiłoby śmiertelny cios dla rewolucji. Ale zgody w kontrrewolucji nie ma, i jak widzimy, być nie może. Oto dlaczego rewolucja musi zwyciężyć.

Lewa wolna jest powieścią o tragicznym niezrozumieniu Historii przez wszystkich bohaterów jej wielkiego dramatu. Jedni nie zrozumieli z braku doświadczenia, inni – właśnie z powodu nadmiernego doświadczenia przez Historię.

Józef Mackiewicz opowiada w swej powieści o obszarze Europy Wschodniej, na którym poszczególne narody miały (a raczej: mogły mieć) po zakończeniu pierwszej wojny światowej historyczną szansę stworzenia trwałych, niepodległych państw i wolnych, demokratycznych społeczeństw. Ale warunkiem realizacji tej szansy było powstanie także demokratycznej Rosji.

Tymczasem ten właśnie warunek nie został rozpoznany a każdy z narodów wszystkie swoje wysiłki poświęcił walce o własne interesy państwowo-narodowe, nie doceniając skali niebezpieczeństwa czającego się w totalitarnych celach bolszewików.

Historycznym tematem *Lewej wolnej* są więc początki układu politycznego, który po dwudziestu latach przyniósł zagładę tej części Europy. Jest to zatem powieść, która wydarzeniom z lat 1919–1920 stawia pytania ważne z perspektywy minionych dziesięcioleci... Józef Mackiewicz-pisarz nie był bowiem historykiem-kronikarzem, który rekonstruuje „suche” fakty, żeby opowiedzieć jedynie o tym, co się zdarzyło. Jako pisarz był raczej historiozofem, który na wydarzenia realnej historii patrzył z perspektywy własnej wizji porządku dziejów. W faktach zrealizowanych widział przede wszystkim zmarnowane szanse, w tym co osiągnięto – to co zostało zatracone. W wynikach politycznych układów dostrzegał skarlienie olśniewających możliwości tkwiących w samej rzeczywistości.

Mackiewicz nie opowiada się więc ani za racjami Polaków, ani Litwinów, ani Ukraińców, ani carskich generałów. Wielkim tematem *Lewej wolnej* – a także innych jego powieści i artykułów publicystycznych – jest rozpacz z powodu unicestwienia historycznej szansy rekonstrukcji Rzeczypospolitej Wielu Narodów i Wielu Kultur. Żaden z narodów tej szansy nie dostrzegł, ale to właśnie na Polskę – powiada Mackiewicz – Spadkobierczyni Idei Jagiellońskiej, spoczywał historyczny obowiązek obrony kulturowej tożsamości tego obszaru przed bolszewikami.

Wrogowie Mackiewicza zarzucali pisarzo- wi nienawiść do polskości. Mniejsza o poziom ich argumentacji. Mnie się natomiast zdaje, że trzeba do bólu kochać Polskę, żeby stawiać jej aż takie wymagania...

W koncepcji Mackiewicza tkwi niezwykła wiara w polskości i w jej siłę sprawczą. Wiara tak silna, że aż idealizująca realne możliwości. Tak – Mackiewicz wytykał Polakom wady straszne i czyny niegodne. Ale swą pasją zmagania się z polskością kroczył po szlaku swoich poprzedników: Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Żeromskiego – pisarzy którzy rozdrapywali rany narodu, aby się nie zablizniły błoną podłości. Gdy zapomnimy o tym, dyskusja o twórczości Józefa Mackiewicza jest stratą czasu.

Ten wymiar twórczości Mackiewicza dostrzegł między innymi Bohdan Brodziński pisząc, że w *Lewej wolnej* ludzie różnych narodów poświęcający się „dla sprawy polskiej (...) symbolizują ideę dawnej Rzeczypospolitej głoszącej wolność i tolerancję dla wszystkich. Niestety Mackiewicz jest tu jedynym z nielicznych. Idea uniwersalnej tolerancji w dużym stopniu zaginęła w Polsce i dzisiejsze prymitywy ludzkie wykształcone na Hitlerze i Stalinie, nie są w stanie jej pojąć”.

Wróćmy do powieści. W literaturze polskiej jest to utwór niezwykły. Przez lata *Lewa wolna* była jedyną powieścią poświęconą tak gruntownie wojnie 1920 roku. Mackiewicz złamał w niej wiele narodowych stereotypów: wojny z bolszewikami,

W konstrukcji losów bohaterów tej powieści nie ma nadrzędnej, patriotycznie zorientowanej tezy – ludzie z wojny wychodzą okaleczeni, ich losy są skrzywione, najczęściej – przerwane. A Historia, której oddali swe życie, dzieje się najczęściej tak jakby ich w ogóle nie było. Straszny rachunek.

Ale powieść Mackiewicza nie jest utworem pacyfistycznym. Wręcz przeciwnie – mimo okrucieństw jakie przedstawia – jest opowieścią o sensie walki zbrojnej w imię nadrzędnych ogólnoludzkich racji. A zarazem jest gorzką refleksją, że to, co ogólnoludzkie bywa w historii pochłaniane przez to, co partykularne.

Dopowiem myśl, która w *Lewej wolnej* nie została wypowiedziana wprost, ale bez



EDWARD DWURNIK

patriotyzmu, interesu państwowego i narodowego. Dał znakomite opisy batalistyczne, nie podporządkowane żadnej tendencji ideologicznej. Wojna w opisach Mackiewicza jest po prostu okrutna, pełna bestialstwa z obu stron, zdzierzenia, krwi, cierpienia i męki. Walczą ze sobą narody i ideologie, ale giną ludzie.

Także ściśle literackie motywy tej powieści wylamują się ze stereotypów literatury-krzepicielki serc. Trafnie ujął to cytowany już Brodziński: „Wiedziony nieomylnym instynktem Mackiewicz szczęśliwie omija rafy szablony, patosu i wzniosłych haseł. Wiemy, że bohaterowie jego muszą mieć problemy i uczucia, wzloty i upadki. Ale to dzieje się wtedy, gdy są sami. Autor opisuje zaś wyłącznie żołnierzy w gromadzie. A żołnierz w gromadzie to bestia nieuglaskana, przeżuwacz chleba i burdelant”.

której intelektualny wymiar tej powieści może być niezrozumiały, myśl, która zresztą pojawia się w publicystyce Mackiewicza – a także w *Drodze donikąd* i w *Nie trzeba głośno mówić*.

W legendzie o polskiej niepodległości wojna z bolszewikami w 1919–1920 zajmuje uprzywilejowane miejsce. Gdyby tej wojny Piłsudski nie wygrał, nie byłoby Polski i nas by nie było. I może nie byłoby też krajów wyłonionych z powsalskiego porządku Europy. Jeśli więc Polacy w 1920 roku obronili przed bolszewikami swą niepodległość i jeśli dobrze wiedzieli, co obronili, to dlaczego nie bronili się przed bolszewikami dokładnie dwadzieścia lat później? Przecież w granice Polski weszła od wschodu ta sama armia, rządzona przez tę samą partię, której cele w 1939 roku były dokładnie takie same jak w roku 1919...

Książka Mackiewicza doczekała się kilkunastu recenzji – w większości pozytywnych, nierzadko pełnych najwyższych ocen dla artystycznej i intelektualnej rangi utworu. W ten sposób pisali o *Lewej wolnej* – czasem polemizując z jej autorem – między innymi Marian Hemar, Lew Sapieha, Karol Zbyszewski, Adam Pragier, Michał Chmielowiec, Janusz Kowalewski, Michał K. Pawlikowski, Józef Łobodowski, Bohdan Brodziński, Karol Wędrziagołski, Józef Karasiewicz.

Sens polemik sprowadzał się do wątpliwości czy rzeczywiście Polska w 1920 roku miała możliwość rozpoznania strategicznych celów bolszewików, a co za tym idzie – klarownego oddzielenia ich od celów Denikina, Wrangla i Judenicza i czy faktycznie była w stanie przezwyciężyć szalę na korzyść kontrrewolucji i w długim marszu spod Warszawy unicestwić bolszewików.

Najprecyzyjniej te zastrzeżenia sformułował Adam Pragier: „Nie podzielam tego poglądu Mackiewicza, sądzę, że Polska była w owym czasie nie dość silna, by mogła samoistnie zaważyć na dziejach Rosji, a od Zachodu nie miała w tym względzie nie tylko pomocy, ale wyraźną odmowę. Carscy generałowie chcieli przywrócić dawny stan rzeczy i nic nie zapowiadało, że odbudowana Rosja będzie bezpiecznym sąsiadem. Nikt też nie wiedział jeszcze czym jest komunistyczna koncepcja państwa totalnego. Wydawało się raczej, że bolszewizm wywoła długotrwałe smutnoje wremiona, co Rosję osłabi i uczyni sąsiadem przynajmniej znośnym na dłuższy czas.”

Podobnie myślał o tych sprawach Józef Łobodowski: „Otóż ani Polacy mogli odegrać rolę straży ogniowej gaszącej rewolucję rosyjską, ani bolszewicy „ledwie zipali” w tych przełomowych chwilach krwawego lata 1919”.

Ale polemiki te były rewersem uznania dla intelektualnych perspektyw książki Mackiewicza, świadectwem fascynacji niepospolitą wiedzą autora, podziwu dla jego pasji poznawczej i niezwykłego talentu narracyjnego. „Książka Józefa Mackiewicza jestem głęboko przejęty – pisał Marian Hemar – głęboko poruszony, z serca mu za nią dziękuję”.

Ciekawe, że bardzo wysoko ocenili książkę Mackiewicza ludzie niegdyś blisko związani z marszałkiem Piłsudskim – na przykład Karol Wędrziagołski czy Józef Karasiewicz. Ten ostatni zgadzał się z podstawową refleksją Mackiewicza – Polsce udało się wprawdzie pobić bolszewików, rzecz jednak w tym, że światu nie udało się ich zniszczyć. Karasiewicz pisał o *Lewej wolnej*: „Nie odkryłem w niej żadnego naciągania czy fałszowania prawd historycznych. Przeciwnie: obiektywność, bezstronność, wszechstronność. (...) Niejedną z przytoczonych w tej książce prawd raniła mnie bardzo jako piłsudczyka. – Ale była prawdą w pojęciu i interpretacji uczciwie myślącego człowieka”.

Były jednak też opinie radykalnie odmienne. Negatywne oceny *Lewej wolnej* sformułowali uczestnicy dyskusji zorganizowanej przez Stowarzyszenie Polskich Kombatanów, wśród których znaleźli się historycy i uczestnicy wojny 1919–1920 roku. Ich wypowiedzi zostały zebrane w broszurze *W obronie prawdy historycznej*. Głosy i opinie o książce *Lewa wolna*.

Trudno tu szczegółowo przedstawiać zastrzeżenia i zarzuty wobec książki Mackiewicza, godzi się jednak przypomnieć, że uczestnicy dyskusji odrzucili w całości Mackiewiczowski opis kampanii polsko-bolszewickiej. Negatywnie ocenili kluczowe dla koncepcji Mackiewicza takie jej elementy, jak stosunek Piłsudskiego do białej Rosji, przebieg rozmów Piłsudskiego z bolszewikami (Białowieża-Mikaszewice), opis bitwy pod Warszawą, możliwość ostatecznego rozbicia bolszewików jesienią 1920 roku,

przeгляд zagraniczny

Sławomir Mazurek

Bezbronni, cyniczni, naiwni...

Nikt już chyba nie wierzy, że Związek Sowiecki zdoła przetrwać do roku 1994. Wielu wątpi, czy przetrwa do końca zimy. W obecnym położeniu nawet wojskowy zamach stanu i powrót do totalitaryzmu na dłuższą metę przyczyniłoby się tylko (jak stan wojenny w Polsce) do ostatecznego rozkładu systemu i upadku klasy rządzącej. W Związku Sowieckim jest zresztą zbyt wiele broni i jest ona zbyt łatwo dostępna, by stan wojenny nie przekształcił się tu natychmiast w stan wojny domowej. Byłaby to jedna z najokrutniejszych wojen domowych w historii, gdyż w ZSRR większość mężczyzn przeszła dwuletnią służbę wojskową, stanowiącą rzadką szkołę brutalności i bestialstwa.

Właśnie o życiu wewnętrznym sowieckich jednostek i doli poborowych opowiada film dokumentalny Aleksiego Chaniutina *DMB - 91*. Reżyser spędził kilka miesięcy w garnizonie na Zabajkalu śledząc z kamerą losy grupki rekrutów; wkrótce po premierze filmu „Moskowskie Nowosti” (nr 49 z 9 XII 1990) zamieścili jego wypowiedź na temat stosunków panujących w armii. Zdaniem Chaniutina służba wojskowa jest integralnym i może najważniejszym elementem sowieckiego systemu ujarzmania osobowości i sumienia. Reżyser w sposób wielce znamieny komentuje pogłoskę jakoby żołnierze – sprawcy rzezi w Tbilisi i innych zbrodni pierestrojki, przed akcją otrzymywali dawkę narkotyków. „W rzeczy samej jestem przekonany, że żadne narkotyki nie są potrzebne, koszarowe życie jest na co dzień tak przesycone gwałtem, że wystarczy odrobina wysiłku ze strony oficera politycznego, a ci chłopcy gotowi będą rąbać saperkami kogo popadnie”. Gwałt panujący

w armii jest w znacznej mierze skutkiem jej wewnętrznego rozkładu – armia jest tak skorumpowana, tak niesprawna organizacyjnie, poborowi tak nienawidzą służby, że utrzymanie minimum dyscypliny byłoby niemożliwe bez nieustannego uciekania się do przemocy. W konsekwencji: „po dwóch latach wychodzą z wojska ludzie w pełni przystosowani do życia w państwie totalitarnym”. To właśnie służba wojskowa („szczególna forma na polu zmilitaryzowanej pracy przymusowej”) całkowicie zmienia ich widzenie człowieka i świata. „Wiele rozmawialiśmy z rezerwistami; na pytanie co dała im armia, odpowiadali z rzadką jednogłębnością: poznałem ludzi, poznałem życie. I właśnie po nakręceniu tego filmu zrozumiałem, co mieli na myśli: poznali ludzi od najgorszej strony, poznali biologiczny aspekt życia”.

W tym samym numerze „Moskowskich Nowostiej” znajdujemy interesujący wywiad z Jewgienijem Popowem – znanym prozaikiem średniego pokolenia. Pisarz charakteryzuje współczesną literaturę rosyjską, próbuje też przewidzieć jej przyszłe losy. Stwierdza, iż prawie niepostrzeżenie nastąpiło literackie zjednoczenie Rosji, dotąd podzielonej na kraj i emigrację. W ZSRR pojawia się tyle nowych czasopism i nazwisk, tyle przedruków zakazanej dotąd literatury ojczystej i obcej, że krytycy i czytelnicy gubią się już w natłoku publikacji. Kryje się w tym немало niebezpieczeństw. Po pierwsze: powstał już cały nurt literatury „awangardowej”, niezliczeni, niczym nie różniący się od siebie naśladowcy Jerofiejewa, Nabokowa, Saszy Sokolowa; ich twórczość jest równie jednostajna i sztampowa jak niegdys literatura oficjalna. Po wtóre: w zamęcie literackiego ożywienia bardzo łatwo przeoczyć wartościowe dzieła autorów, którzy debiut mają już za sobą, ale nie zdobyli sławy i nie stali się klasykami. Do wybitnych pisarzy, których utwory przeszły bez echa, niejako zniknęły w tłumie, zalicza się Marka Charitonowa, Mikołaja Klimontowicza oraz, nieżyjącego już, poetę – Aleksandra Wieliczańskiego (powszechnie znany jest tylko jeden jego wiersz, który stał się popularnym romansem, a przecież był to „mistrz przez całe życie doskonały rytm i intonację”). Wielkie wrażenie wywarło na Popowie *Dziedzictwo* – powieść, także już nieżyjącego Władimira Kromera, opublikowana ostatnio w miesięczniku „Oktjabr”. (Zamierzam pisać o niej obszerniej w jednej z najbliższych kronik). Popow wierzy, że przyszła literatura rosyjska nie będzie już koncentrować się na problematyce społecznej i politycznej. „Może pojawi się «historia miłości». Mam nadzieję, że literatura nie będzie już ani sowiecka, ani antysowiecka, ale zacznie wypełniać misję, o której zapomniano w «zamęcie wydarzeń»: stanie się pośrednikiem między Bogiem i śmiertelnymi ludźmi depczącymi ten padół. Właśnie miłość. Tytuł zbioru prozy

dziesięciu pisarek młodego pokolenia, opublikowanego właśnie w wydawnictwie «Moskowskij raboczij» mówi sam za siebie: *Nie pamiętaję zła*. Koszmar sowieckiego życia i sowieckiej świadomości nie jest tym, co najważniejsze w ich zbiorze. Jego nerw stanowi rozbrajająca kobieca delikatność i bezbronność. Delikatność, która przeciwstawia się rozkładowi – może to będzie znak rozpoznawczy «nowej» literatury?”

Jewgienij Popow mówi o literackim zjednoczeniu Rosji. Trudno pominąć milczeniem dwa wydarzenia zapewne potwierdzające jego sąd. Oto Rada Ministrów RSFR nagrodę państwową w roku 1990 przyznała Aleksandrowi Solżenicynowi za książkę *Archipelag GULag*. Chciałoby się zawołać: „Kto tego dożył, wielkich cudów dożył”. Ponadto, od stycznia 1991 ukazywać się będzie w Moskwie jako kwartalnik pismo Władimira Maksimowa „Kontynent”. Nakład na razie niewielki: 100 000 egzemplarzy; cena 6 rubli 50 kopiejek.

Ktoś zjadliwy, albo po prostu pesymista, mógłby powiedzieć, że po duchowym i kulturalnym zjednoczeniu wolnej Rosji z Rosją sowiecką nastąpi zjednoczenie zjednoczonej Rosji z Zachodem. Do takich przewidywań upoważniają chociażby doniesienia prasowe („Moskowskie Nowosti” nr 51 z 23 XII 1990) o planach hollywoodzkiej spółki „Columbia”. Legendarna wytwórnia przygotowuje ekranizację pamiętników byłego członka politbiura Ligaczowa. Film kosztować ma 36 milionów dolarów (dużo to czy mało?) i kreowany będzie w plenerach Syberii. Role członków Biura Politycznego zaproponowano: Alainowi Delonowi, Gerardowi Depardieu, Robertowi de Niro, Woody Allenowi, Marcello Mastroianniemu i Jackowi Nicholsonowi. Przypuszcza się, że główną rolę (Ligaczowa?) odtwarzać będzie Silvester Stallone. No cóż... jeśli ZSRR przetrwa zimę, a Saddam Husajn nie spali Hollywood, kiedyś obejrzymy ten film w kinach...

O naiwności Zachodu napisano już całe tomy. O naiwności ludzi radzieckich w stosunku do Zachodu pisze w liście do redakcji „Moskowskich Nowostiej” (nr 51 z 23 XII 1990) Eduard Limonow – znany prozaik, od kilkunastu lat przebywający na emigracji. List jest dość dziwny i na pewno świadczy o naiwności, nie wiem tylko czyjej. Limonow oburza się w nim na radzieckiego dziennikarza, który nieodpowiedzialnie, jego zdaniem, idealizuje rolę Radia „Swoboda”. Pisarz przypomina swoim rodakom, że rozgłoszania znajduje się pod kontrolą CIA; skoro tak, każdy jej pracownik „pozostaje na służbie obcej organizacji zwiadowczej” (formułka jakby skądś znana). Co gorsza, o ile w polityce radzieckiej nastąpił przełom, polityka amerykańska, ze względów „geopolitycznych” była, jest i będzie nieprzejednana wroga wobec ZSRR. „Wczoraj nienawidziłyśmy Rosji totalitarnej, dziś będziemy kochać Rosję demokratyczną – nie tak myślą mężowie stanu w USA” – przestrzega Limonow. Na koniec zaś oświadcza: „Osobiście nigdy nie unikałem udzielania wywiadów dziennikarzom «Głosu Ameryki» czy, tym bardziej, niezależnej BBC. Udzielanie wywiadu Radiu «Swoboda» uważam za hańbę.

Mniejsza o ZSRR, ale i z Rosją może być niedobrze, jeśli wybitny rosyjski pisarz po wielu latach emigracji nie wstydzi się wypisywać takich głupstw.

Isabelle Macor-Filarska

Nagroda Goncourtów

Życie towarzyskie i kulturalne we Francji, pardon – w Paryżu, toczy się według raz na zawsze ustalonego rytuału, a rytm nadają mu powtarzające się z roku na rok wydarzenia.

Wszystko zaczyna się we wrześniu od inauguracji nowego roku szkolnego, która mobilizuje całą niemal prasę, poświęcającą milionom młodych Francuzów duże i sążniste artykuły. Liczne polemiki wywołuje zawartość tornistrów, które – jak chyba nigdzie indziej na świecie – są wyjątkowo ciężkie. Podręczniki szkolne stanowią we Francji jedną z najbardziej dochodowych działalności wydawniczych. Już w sierpniu księgarnie eksponują w witrynach nowe kolekcje podręczników, słowników i lektur szkolnych z roku na rok liczniejsze, staranniejsze i z coraz bardziej nęcącą szatą graficzną. Nauczyciele i rodzice stają przed naprawdę trudnym wyborem. Z łatwością natomiast ci ostatni mogą zauważyć, że niewątpliwe perły sztuki edytorskiej coraz dotkliwiej drążą budżety domowe.

Gdy przycichną echa inauguracji nowego roku szkolnego, przychodzi rozpoczęcie roku akademickiego z tradycyjnymi już, (i z roku na rok dłuższymi) kolejkami do zapisów pod bramami uniwersytetów i to mimo wprowadzenia w tym roku możliwości zapisania się za pomocą Minitelu, czyli komputerowego systemu łączności powszechnego użytku.

W końcu, w środku jesieni, następuje długo i niecierpliwie oczekiwana pora przyznawania nagród literackich. Odbywa się to zgodnie z ustalonym od lat rytuałem i w ściśle przestrzeganej kolejności, zaś największe emocje budzi ogłaszana jako pierwsza, najbardziej zresztą ceniona, nagroda Goncourtów. Wielokrotnie już dyskutowano o manewrach wydawnictw, skandalach i kompromisach związanych z przyznawaniem nagród literackich w Paryżu. Jest rzeczą powszechnie znaną, że kryteria wyboru niewiele mają wspólnego z wartością pisarstwa. Czy to znaczy, że nagroda Goncourtów nie ma żadnej wartości z czysto literackiego punktu widzenia? Kto by tak twierdził z całą pewnością naraziłby się na posądzenie o arogancję. Członkowie Akademii Goncourtów prowadzą politykę ostrożną i bardzo rzadko szukają wśród autorów książek publikowanych poza jednym z trzech największych wydawnictw paryskich: Gallimard, Grasset i Le Seuil, z którymi związani są najlepsi, a przynajmniej za najlepszych uważani, pisarze. Jak zauważył Pierre Belfond, wydawca i autor wyrażenia „Galligrasseuil”, między 1960 i 1989 rokiem to kondominium zebrało 23 z 29-ciu przyznanych w tym okresie nagród Goncourtów, 25 nagród Renaudot, 25 Interallié i 27 Femina. „Czy można jednak zaprzeczyć, że najlepsze książki wychodzą właśnie u nich?”, pyta André Stil, członek Akademii Goncourtów. W środowisku paryskich salonów nikt nie odważyłby się mieć

odmiennego zdania. Pozornie mogłoby się wydawać dziwne, że autorzy i wydawnictwa, często o ustalonej renomie, ubiegają się o względy dziesięciu pisarzy wchodzących w skład Akademii których osobiste notowania literackie, z wyjątkiem Michela Tourniera, nie dorównują prestiżowi nagrody. Hervé Bazin, przewodniczący Akademii, znany jest przede wszystkim jako autor powieści *Vipère au poing*, lektury szkolnej, napisanej w stylu „męskim” i przepojonej uczuciem niechęci i mściwości wobec matki oraz całego świata. Françoise Mallet Joris w książce *Lettre à moi-même* opowiada o sobie i charakter tych wynurzeń przypomina niektóre niezłe teksty z kobiecego czasopisma „Elle”, André Stil jest byłym heroldem francuskiego socrealizmu. Robert Sabatier, któremu mimo proletariackiego pochodzenia udało się wejść do salonów paryskich (co jest warunkiem sine qua non sukcesu, jeśli nie literackiego to przynajmniej towarzyskiego) jest autorem patetycznej historii biednego dzieciństwa – *Les alumettes suées o'ses* – powieści, która zapewniła mu sukces.

Oprócz wyżej wymienionych w skład Akademii Goncourtów wchodzi: François Nourissier, Edmonde Charles – Roux, Jean Cayrol, Emmanuel Roblès, Daniel Boulanger. Eklektyzm tej arcy-paryskiej instytucji, która zbiera się na comiesięczne obiady w restauracji Drouant na placu Gaillon niedaleko Opery, gwarantuje „obiektywizm”. Dla członków Akademii, których pisarstwo nie wybiega poza problemy własnego „ja”, ni poza ramy problemów rodzinnych mieszczaństwa z ich nieprzemijającymi dramatami, innowacyjność powieści kandydującej do nagrody nie jest żadnym atutem. Gide, Sartre, Camus, Cohen, Yourcenar byli w swoim czasie zupełnie ignorowani. Dziś Michel Butor, J.M.J. Le Clezio i kilku innych ciągle czekają na wyróżnienie. Akademia Goncourtów ceni przede wszystkim umiar, respektowanie

Nagrody i skandale

Miało być o laureacie nagrody Goncourtów w roku 1990, który napisał powieść pt.: *Champs d'honneur*. Laureat nazywa się Jean Rouaud i dotychczas prowadził kiosk z gazetami w osiemnastej dzielnicy miasta Paryża. Przypuszczam, że już go zamknął, bo nagrody literackie we Francji, szczególnie nagroda Goncourtów, nagroda Renaudot, w mniejszym stopniu Médicis, Interallie lub – o zgrozo – Femina to instytucje wyspecjalizowane, które rozdzielają pieniądze i sławę. Jak się ma to pierwsze, to i drugie przyjdzie. Talent się przydaje, ale nie jest on ani koniecznym, ani wystarczającym warunkiem zdobycia nagrody literackiej. Gombrowicz miał talent ogromny, z jego pism można ułożyć antologię-podręcznik „Jak zostać sławnym artystą”, a z nagrodami miał kłopoty. Kiedy nakręcono mu Nobla, to umarł. O to mam do Gombrowicza wielki żal.

Ponieważ chodzi o pieniądze, rodzą się skandale. Więc o skandalach związanych z Goncourtami proponuję słów kilka. Wypada wszakże dodać, że głównym bohaterem powieści Jean Rouaud jest deszcz w departamencie Loary Atlantycznej oraz stary Citroën 2CV w roli wchikulu wspomnień, z czego wynika, że autor zapoznał się w kiosku z wybranymi fragmentami dzieła Prousta.

Towarzystwo literackie pod nazwą Akademia Goncourtów powstało w roku 1902 zgodnie z zapisem w testamencie Julesa i Edmonda, nakazującym jury składającemu się z dziesięciu przyjaciół zmienionych nagle w akademików, przyznawanie corocznej nagrody „za najlepszy plód imaginacji proza, twórcy młodemu i zdolnemu, by mógł przez pewien czas zajmować się poważną pracą literacką, a nie dorywczo piórem zarabiać na życie”. Bracia Goncourtowie chcieli, by fundacja obroniła ich imię od zapomnienia. Udało się.

W początkach stulecia nagroda wynosiła 5000 franków, to znaczy niewiele. W dzisiejszych czasach laureaci dostają nieźle pieniądze. Krążą plotki, że Gallimard, Grasset i Le Seuil z góry wyznaczają zwycięzców, których oczywiście wydał w swych oficynach. Powiadają też, że na członków jury wywiera się różnorodną presję. Nie tylko ordynarnie lapówkową, ale też w postaci mamidla: wydawcy ponoć obiecują, że wznowią lub wydadzą dawno zapomnianą lub nikomu niepotrzebną dzieła członków jury, najchętniej w serii kieszonkowej, ponieważ wtedy honorarium podskakuje radośnie. Zdarzały się ponadto przypadki kupczenia ciałem.

Nie muszę dodawać, że we Francji wszystkie interesy zalatwia się przy dobrej kolacji, wyłącznie między deserem i kawą, czyli w momencie kryzysowego przecięcia narządów trawiennych, bo wtedy niektórym biesiadnikom bywa wszystko jedno. Związek kuchni francuskiej z pieniędzmi wydaje się równie silny i głęboko przemyślany jak w Polsce sojusz śledzika z oliwą. Nagrody Goncourtów też rozdaje się w takich właśnie kruczalnych momentach.

1903. Powieść Antoine Nau *Force ennemie* zdobywa pierwszą w historii nagrodę Goncourtów. Żaden skandal nie wybucha.

1907. Członkiem Akademii Goncourtów wybrano Julesa Renarda, który zanotował w *Dzienniku*: „Wygląda to na dom starców dla starych kumpli”. Jury wyróżniło powieść niejakiego Francisca de Miomandre, której tytułu zapomniałem. Plód laureata kupiło w ciągu dwunastu lat aż 300 czytelników.

ogólnie przyjętych norm i najczęściej wybiera książkę dobrą dla masowego odbiorcy (albo interesujący debiut), w odróżnieniu na przykład od nagrody Renaudot, która przeważnie przypada tekstom trudniejszym.

Zwycięzcę rzadko udaje się wyłonić już w pierwszej turze głosowania, gdyż w Akademii Goncourtów (podobnie zresztą jak w przypadku innych zespołów decydujących o przyznaniu wielkich nagród) przyjęta została zasada większości absolutnej. Kolejne tury to żmudne wysiłki w poszukiwaniu kompromisu.

Aragon trzasnął drzwiami Akademii, gdy w 1968 roku nie zdołał przeforsować swojego faworyta – François Nourissier. Ten sam Nourissier, który dziś jest członkiem Akademii, wyciągnął z tego wydarzenia wnioski. „Zamiast się upierać przy książce, którą się preferuje, lepiej głosować „skutecznie”. To jest kompromis wewnętrzny z samym sobą.”

Akademia Goncourtów nadzwyczaj starannie dobierając współbiesiadników do stołu u Drouanta, instytucjonalizuje strategię kompromisu, co ma niewiele wspólnego z działalnością idealnego jury literackiego, które powodowałyby się tylko i wyłącznie wartością dzieła. Podobno w tym roku lobby Grasseta nie czyniło specjalnych wysiłków dla poparcia swojego kandydata, chcąc zwiększyć tym samym swoje szanse na przyszłorocznego Goncourta z myślą o mającej się ukazać nowej powieści Bernarda Henri-Lévy. Michel Tonrnie przyznaje: „czuć w powietrzu pieniądze i starza to wstrętą atmosferę”.

Wśród wydawców nagroda Goncourtów ciągle jest najbardziej ceniona, gdyż ze wszystkich nagród właśnie ona potrafi najlepiej „sprzedać” wyróżnioną książkę.

Trzeba jednak przyznać, że przy stole u Drouanta dyskutuje się czasami i o literaturze. Zdarza się nawet, że jurorzy są wyjątkowo dobrze zainspirowani. Tak było w 1984, gdy przyznali nagrodę *Kochankowi* Marguerite Duras, która zaszczyliła Akademię przyjmując tak

1912. Léon Daudet nie chciał za żadne skarby głosować na powieść Juliana Benda, ponieważ Benda był Żydem.

1921. Nagrodę otrzymuje Murzyn, René Maran za powieść *Batouala, roman nègre*. Członkowie jury tak się strasznie zawstydzili, że potem stawiali okoniem, zapierali i wypierali własnych głosów. Rezultaty przepisywano ciągle na nowo. Jury postanowiło od tej pory zatajać, kto na kogo głosował.

1922. Szczegółowe wyniki głosowania w Akademii Goncourtów, z nazwiskami, wydrukowała poranna prasa paryska, chociaż jury miało ogłosić rezultaty (końcowe i anonimowe) dopiero o godzinie 13.

1931. Bernard Grasset napisał w „Nouvelles littéraires” pamflet na Dziesięciu z Domu Starców: „Každy wie, że chwała przydzielana przez Dziesiątkę jest chwałą papierową, że bardziej interesują się *menu* niż dyskusją (...) Na jakiej podstawie, z czyich bosko-nieboskich podszeptów, odkrywają oni każdego roku, o wskazanej porze, najlepszą powieść, napisaną w ciągu ubiegłych dwunastu miesięcy, której i tak nikt nie czyta?”

1932. Grasset wykrakał. Akademicy przyznali nagrodę grzesznictwu Guy Mazeline za powieść *Les Loups*, pomijając *Voyage au bout de la nuit* niejakiego Céline'a, bo nikt go w „środowisku” nie znał. Céline pisał 12 listopada 1932 roku do jednej z przyjaciółek: „Na Goncourtów mam marne widoki. Potrzeba by cudu. Wartość mojej powieści się nie liczy. (Zresztą rok dla prozy był nadzwyczaj kiepski). Jury się jej po prostu boi. Dawniej Akademia Goncourtów była siedliskiem anarchistów, teraz się zestarzała i przypominają stare rozleniwione samice”. Céline nie mógł wiedzieć, że jeszcze przed tygodniem sytuacja wyglądała całkiem inaczej. Większość samicy miała na niego głosować, ale nagle Rosny starszy, prezes Akademii Goncourtów, opublikował w piśmie „L'Intransigeant”, co należy przetłumaczyć jako „Nieprzejednaniec” ostry atak na Céline'a. Guy Mazeline grał w gazecie pierwsze, choć pęknięte skrzypce.

Lucien Descaves opuścił restaurację i trzasnął drzwiami, gdy się okazało, że Céline odpadł. Wykrzykiwał, że więcej jego noga

nie postanie w Akademii, która jest placem publicznym, targowiskiem i sprzedajną budą.

1945. Członkiem Akademii Goncourtów ponownie została Colette, usunięta z grona w roku 1926 za złe sprawowanie. W 1948 dymisję złożył Sacha Guitry, który dał się wybrać w roku 1939.

1951. Julien Gracq odmówił przyjęcia nagrody za powieść *Le Rivage de Syrtes*, ponieważ uważał całą Akademię Goncourtów za bandę kretynów, czemu dał wyraz w ogłoszonym rok wcześniej pamflocie *La littérature à l'estomac* czyli *Literatura na żołądku*.

1968. Dymisję złożył z hukiem Aragon, oskarżywszy kolegów z jury o spisek zawiązany w celu przyznania nagrody Bernardowi Clavel. Aragon wykrzykiwał ponadto, że członkowie uprawiają kanibalizm.

1971. Konfuza: Jacques Laurent udzielił wywiadu Bernardowi Pivot (prowadził przez lata program telewizyjny *L'Apostrophe*, w którym przedstawiał autorów i ich książki). Laurent wychłostał nagrody literackie: „nienawidzę nagród, bo nazbyt często przyznaje się je w sposób niegodzawy i niewybaczalny. A jednak, chociaż to może się wydać panu paradoksalne, ale nie jest, chciałbym żeby moja książka dostała jakąś nagrodę. Nie ja, ale moja książka...” W trzy tygodnie później Jacques Laurent otrzymał Goncourtów.

1975. Żarty się skonczyły: obrażony Jacques Thieuloy rzucił się z gołymi rękami na wychodzącego od Drouanta Michela Tournier. Klatkę schodową budynku zamieszkiwanego przez wiceprezesa Akademii Goncourtów, François Mallet-Joris, obrzucono koktajlami Molotowa. Nieznani sprawcy splądrowali siedzibę wydawnictwa Grasset.

1986. W podstawowych francuskich dziennikach ukazał się manifest podpisany przez dwóch znanych wydawców: Pierre'a Belfonda i Roberta Laffonta. Manifest nosił tytuł: „O moralności nagród literackich”. „Proponujemy, co następuje: wszyscy wydawcy, których książki otrzymują pięć najważniejszych nagród literackich, przeznaczają całość dochodu uzyskanego ze sprzedaży nagrodzonych książek na Narodową Ligę Walki z Rakim. Proponujemy ponadto, aby z nazw usunąć przymiotnik 'literackie' i pozostawić tylko 'nagrody'. Ponieważ chodzi wyłącznie o pieniądze”.

1989. Grupa pisarzy i krytyków powołała do życia nową nagrodę literacką *Prix Novembre*, która ma spełniać rolę anty-Goncourtów i na dodatek świecić dobrym przykładem. Ze źródeł dobrze poinformowanych wiadomo, że moralności powyrwały sobie resztki siwych włosów, a jeden starał się wstrzyknąć koledze strychninę do ostryg.

Znałem pewnego Francuza, który zapadał w długie rozmyślenia. Po czym, ocknąwszy się, mówił: – Świnia świnia tylek ślmi. – Co masz na myśli? – zapytałem w końcu. Odpowiedział: – Myślę o pieniądzach.

Krzysztof Rutkowski



ADAM HOFFMANN

spóźnione wyróżnienie. Wydaje się, że również w 1990 roku kryteria artystyczne zatriumfowały nad względami pozaliterackimi. Szczęśliwym wybrańcem został Jean Rouaud (za książkę *Les champs d'honneur*, wydaną przez „Minuit”). Trzydziestoosmioletni autor był do tej pory sprzedawcą w kiosku na ulicy De Flandre. Nagroda – jak sam stwierdził – nie była dla niego uwiecznieniem, umożliwiła mu ona kontynuację pracy pisarskiej. Jego zamiarem jest saga w formie trylogii mająca za tło rodzinne strony autora, region Nantes. *Les champs d'honneur* są poświęcone wojnie 1914–1918, widzianej

przez pryzmat zarazem intymistyczny jak i kosmiczny. Autor ratuje od zapomnienia postacie własnych dziadków, a jednocześnie mówi o najtragiczniejszym okresie w historii Francji. Druga książka, którą Jean Rouaud zaczął pisać jednocześnie z pierwszą, będzie poświęcona krzyżującym się drogom ojca i matki podczas drugiej wojny światowej, w ruchu oporu. Trzecia książka, poprzez historię kolekcji kamieni ojca, opowie o śmierci Josepha Rouaud.

Fundamenty ciekawego i pięknego dzieła zostały postawione.

TYGODNIK
LITERACKI 17

Czy będziemy cześcić Kolumba?

Do instytucji historycznych często zwracają się różne ważne urzędy z zapytaniem, jakie rocznice należałoby obchodzić w najbliższych latach, poświęcając im okolicznościowe sesje, akademie czy wreszcie znaczki pocztowe. W lwiej części są to wydarzenia z dziejów Polski. Historia powszechna stała się ostatnio jakby mniej godna uwagi (czy nie dlatego, że tak długo kazano nam obchodzić rocznicę „wielkiego października”?). Niemniej jednak i w Polsce zaczęły się już ukazywać pierwsze artykuły poświęcone zbliżającemu się pięćsetleciu odkrycia Ameryki. Nikomu do głowy nie przychodziło świętowanie tej rocznicy w roku 1592 czy 1692, choć na przykład w 1640 roku obchodzono z wielką pompą stulecie zatwierdzenia przez Rzym zakonu jezuitów.

Na niedawnym międzynarodowym kongresie historycznym (Madryt 1990) wysunięto słuszną chyba tezę, iż „odkrywanie Ameryki” było procesem długofalowym, który zakończył się na dobre dopiero gdzieś w XVIII stuleciu, kiedy to zaczęto sobie zdawać w pełni sprawę z dalekosyżnych skutków wyprawy Kolumba. Ale w roku 1792 Europa interesowała się raczej rewolucją francuską aniżeli amerykańską. Dopiero rok 1892 przyniósł całą masę okolicznościowych publikacji i to – jeśli idzie o ziemie polskie – zwłaszcza w zaborze austriackim oraz rosyjskim, z których miała miejsce masowa emigracja chłopska do Ameryki Północnej i do Brazylii. W popularnych biografiach Kolumba, pisanych z myślą o ludowym odbiorcy, wzywano ewentualnego emigranta, aby – wyjeżdżając śladem Wielkiego Genuńczyka za ocean – nie zapomniał o ojczystym kraju, dokąd winien wysłać zarobione w Nowym Świecie pieniądze.

Wzrost zainteresowania Kolumbem stanowił w ubiegłym stuleciu funkcję rosnącego znaczenia Stanów Zjednoczonych. Zarówno w Ameryce Łacińskiej jak w USA był on uważany za duchowego ojca tych wszystkich Europejczyków, którzy założyli tam własne, po dziś istniejące, państwa. Przypomnijmy, że europejskie kolonie w innych częściach świata należą już dziś do przeszłości (jedynie Rosji udało się zachować znaczne posiadłości w Azji).

Zmierzch europocentryzmu oraz postępy procesów dekolonizacyjnych sprawiły jednak, iż mnożą się głosy protestu przeciwko nazywaniu „odkryciem Ameryki” wydarzeń, które zostały zapoczątkowane w 1492 roku. Wielu badaczy sprzeciwia się dalszemu patrzeniu na wyprawę żeglarską Kolumba wyłącznie przez okulary mieszkańców naszego kontynentu, traktujących pozostałą część globu jako teren bezwzględnej eksploatacji. Towarzyszy temu twierdzenie, iż pod niewinną nazwą kryje się zgola ponura treść. Rzekome „odkrycie Ameryki” było bowiem w istocie podbojem, połączonym z przymusową chrystianizacją i zniewoleniem pierwotnych mieszkańców Nowego Świata. Zgodnie z tym poglądem, podzielanym dziś również przez wielu teologów katolickich, należałoby raczej mówić o epoce wielkiej konfrontacji kultur, której towarzyszyła krwawa konkwista.

Na tym rewizjonizmie historycznym musiał uciepieć także i Kolumb, któremu stawia się obecnie liczne zarzuty. Skoro bowiem odkrycie Ameryki „dało początek różnym przejawom zła naszej epoki – ludobójstwu, niewolnictwu, imperializmowi, niszczeniu przyrody – konieczne jest odnalezienie tych przejawów zła w naturze człowieka, który wyprawę

zainicjował i nią kierował” – pisała niedawno włoska „La Stampa” w artykule „Ameryka odkrywa Kolumba” (cyt. za „Forum”, 1990 nr 50). Stanowi on streszczenie też jednego z najgorzalszych krytyków Żeglarza, jakim jest historyk amerykański Kirkpatrick Sale. Widzi on w Kolumbie handlarza niewolników, grabieżcę, a „przede wszystkim okrutnego burzyciela harmonii”, która do momentu odkrycia Ameryki panowała w niej pomiędzy ludźmi a przyrodą.

Nie tu jest oczywiście miejsce na podejmowanie merytorycznej dyskusji z nową wersją „czarnej legendy”. Nową, albowiem już w poprzednich stuleciach zarówno Kolumb jak i podbój „Indii Zachodnich” posiadał w naszej literaturze zdecydowanych krytyków. W 1784 roku Dymitr Michał Krajewski z dumą pisał, iż historia Polski są to „dzieje najspokojniejszego narodu w świecie. Nie ma w nich ani nocy św. Bartłomieja, ani niesporów sycylijskich, ani podbicia Ameryki...”. W głosnej na swój czas powieści Aleksandra Tyszyńskiego, *Amerykanka w Polsce* (Petersburg 1857), jeden z jej indiańskich bohaterów wygłasza płomienną tyradę, stawiając na równi Kolumba i okrutnych konkwistadorów: „Ach, wrogi! [...] wołał dalej z szaleństwem, na pół obłąkaniem – my znamy dzieje męczarni pokoleń naszych [...] Pamiętajmy cię dobrze Krzysztofie Kolumbie, pierwszy tyranie i kacie [...] pamiętam cię dalej Fernando Cortez i ciebie, Franciszku Pizarro!”.

W ostatnią z rocznic odkrycia Ameryki Stanisław Krzemiński, członek Rządu Narodowego z roku 1863, ogłosił niewielką broszurę zatytułowaną *Krzysztof Kolumb. Przypomnienie życia i zasług*. Prawdę mówiąc o zasługach było tu raczej niewiele. Krzemiński przyznawał, iż nie wolno obarczać genuńczyka winą za zbrodnie popełnione przez konkwistadorów, dodawał jednak, że nie można też „bez ubliżenia prawdzie, widzieć w nim nic więcej prócz chciwości na złoto i chęci wywyższenia się osobistego”. Krzemiński, pozostający pod wyraźnym wpływem niechętniej Kolumbowi monografii Wintersera, zarzucał odkrywcy Ameryki płytką bigoterię, chciwość, nepotyzm, wreszcie okrutny stosunek do krajowców. To właśnie Kolumb założył „fundament ohydnej niewoli, która się zakończyła wytypie-

nem Amerykanów antylskich” (zarówno Tyszyński jak Krzemiński przez Amerykanów rozumieł Indian).

Podobnych, niechętnych Kolumbowi opinii, dałoby się przytoczyć więcej choć niewątpliwie częściej go chwalał niżeli ganiono. Należy jednak do nich podchodzić z dużym krytycyzmem, gdyż we współczesnych nam atakach na genuńczyka chodzi raczej o wielką rozprawę ze skutkami kolonializmu niż o obiektywną ocenę jego intencji czy dokonań. Wyprawy Kolumba zapoczątkowały konkwistę i nie sposób wymagać, aby się nimi zachwycał potomkowie indiańskiej ludności Ameryki czy czarnych niewolników, których do niej w kajdanach przywożono. Zadajmy sobie jednak pytanie, jak potoczyłyby się losy Europy XX wieku, gdyby powstałe na drugiej półkuli mocarstwo dwukrotnie nie ocaliło tego kontynentu przed niemiecką hegemonią?

Trudno mieć za złe panu Gaetano Scardocchia, autorowi cytowanego artykułu w „La Stampa”, iż w głosach niechętnych Kolumbowi widzi istną rewolucję poglądów, bunt przeciwko dotychczas gloszonym na jego temat opiniom. Tylko my, historycy, od dawna wiemy, iż większość odkryć w humanistyce bierze się po prostu z nieznanosci wcześniejszej literatury przedmiotu, z którą włoski dziennikarz nie miał się przecież obowiązków zapoznać. „Wszystko już było...” rzekł Ben Akiba. Redaktor Scardocchia jest zapewne dumny z oryginalności tytułu, jaki nadał swemu artykulowi. Istotnie. „Ameryka odkrywa Kolumba” to brzmi nieszablonowo. Wypada wszakże przypomnieć, że już Bernard Fontenelle zapisał (w swych *Rozmowach zmarłych* 1683) dialog Corteza z Montezumą, w którym aztecki wódz wygłasza taką oto gorzką refleksję: „Niestety czemu okrętów nie mieliśmy na odkrycie ziem waszych [...] mielibyśmy pewnie tyle prawa do zawojowania onych, ileście wy do podboju naszych mieli”.

No właśnie: czy gdyby w 1492 roku okręty indiańskich konkwistadorów dopłynęły do brzegów Połwyspu Iberyjskiego nazwalibyśmy to w naszych podręcznikach „odkryciem Europy”, a samą datę czcili jako wydarzenie godne wiecznej pamięci?

listy

Lwowskie poniedziałki literackie

Lwów w swej wielowiekowej historii był zawsze jednym z czołowych ośrodków polskiej kultury i nauki. Ta jego rola wzrosła niepomniernie po odzyskaniu niepodległości w międzywojennym dwudziestolecu. Szczególnie pisarze Lwowa i jego regionu wzbogacili na trwałe polską kulturę o cenne dzieła. Warto przywrócić

ich nazwiska literaturze, wydawać i upowszechniać ich twórczość.

W skromnym zakresie rolę tę pełnią Lwowskie Poniedziałki Literackie, organizowane w drugi poniedziałek każdego miesiąca przez stołeczny oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa. Wieczory poetyckie przeplatane są wspomnieniami o Lwowie, jego życiu kulturalnym i artystycznym oraz jego wybitnych twórcach.

Zainaugurowały je (8.5.) przygotowane do druku dla „Czytelnika” wspomnienia zmarłego przed dwoma laty poety, prozaika i tłumacza Lwa Kaltenbergha w interpretacji Andrzeja Szczepkowskiego. Dotychczas odbyło się piętnaście lwowskich Poniedziałków Literackich, poświęconych twórczości Mariana Hemara, Tadeusza Hollendra, Stanisława Rogowskiego, Józefa Wittlina, Adama Hollanka, Witolda Szolcini, dwa wieczory kilkunastu poetów lwowskich o Lwowie, dwa wieczory poezji związanej z kolejnymi rocznicami obrony Lwowa w 1918 r., wieczór poezji śpiewanej Jerzego Michotka, który wystąpił jeszcze dwukrotnie w innych programach, wieczór auto-

rski Jerzego Janickiego, wieczór lwowskich wspomnień prof. Jana Ernsta, twórcy popularnego przed wojną i znanego z „Wesołej Lwowskiej Fali” zespołu lwowskich rewerlorsów „Chór Erjana” oraz wieczór wspomnień o lwowskich poetach Mirosława Żuławskiego.

Wiele z wymienionych wieczorów literackich wzbogacił mistrzowską interpretacją wybitni artyści scen warszawskich: wspomniany już Andrzej Szczepkowski, Joanna Szczepkowska, Mieczysław Voit, Anna Nehrebecka, Grażyna Barszczewska, Ludmiła Łączyńska, Ryszard Pietruski. Zupełnie inny charakter miał IV Lwowski Poniedziałek Literacki z udziałem znanych filologów ukraińskich, profesorów UW dr. hab. Stefana Kozaka i dr. hab. Floriana Nieuważnego, którzy mówili o literackich stosunkach polsko-ukraińskich na przestrzeni dziejów; wieczór ten wzbogaciła recytacja poezji ukraińskiej w przekładzie Tadeusza Hollendra.

Wszystkie wspomniane imprezy odbywały się w Domu Kultury „Za Żelazną Bramą”, którego kierowniczką p. Zofia

Janicka udzieliła L. P. L. bezinteresownej gościny.

Od stycznia Lwowskie Poniedziałki Literackie odbywają się w gmachu „Wspólnoty polskiej” (dawna „Polonia”) przy ul. Krakowskiej Przedmieście 64 – podobnie jak dotychczas w drugi poniedziałek każdego miesiąca o godz. 17.

Do końca sezonu (w czerwcu) odbędą się następujące imprezy: 11.2. Adam Holanek będzie mówił o życiu kulturalnym Lwowa podczas okupacji sowieckiej i hitlerowskiej; 11 marca wieczór poświęcony twórczości Jana Parandowskiego z prawdopodobnym udziałem Joanny Szczepkowskiej i Andrzeja Szczepkowskiego, 8 kwietnia – wieczór poezji Leopolda Staffa, 13 maja – fragmenty opowieści o Lwowie Stanisława Edwarda Burego p.t. „Ranny lew w klatce”, której akcja toczy się w okupowanym Lwowie w latach 1939-41; sezon zakończy wieczór poezji Kazimierza Wierzyńskiego.

Po przerwie wakacyjnej Lwowskie Wieczory Literackie zostaną wznowione we wrześniu 1991 r.

(seb)

TYGODNIK LITERACKI

niezależne pismo poświęcone sprawom kultury

AREOPAG: Jan Błoński, Gustaw Herling-Grudziński, Artur Międzyrzecki, Ryszard Przybylski, Jan Józef Szczepański.
ZESPÓŁ: Hanna Baltyń, Maria Bratkowska, Waldemar Ciołdowski, Melana Dziędużycska, Waldemar Gasper (zastępca redaktora naczelnego), Rafał Grupiński, Dorota Jarecka, Rajmund Kalicki, Marek Karpiński, Tadeusz Komendant, Jacek Królak, Tomasz Królak (sekretarz redakcji), Jacek Łukasiewicz, Janusz Maciejewski (redaktor naczelny), Łukasz Małachowski (sekretarz redakcji), Piotr Matywiecki (zastępca redaktora naczelnego), Grzegorz Musiał, Agnieszka Płowarska, Paweł Rodak, Iwona Smolka, Piotr Sommer, Jan Stachowski, Marian Stala, Robert Tekieli (zastępca redaktora naczelnego), Wojciech Tomczyk, Małgorzata Wierzbicka, Wanda Zwinogrodzka.
WSPÓŁPRACOWNICY: Marcin Baran, Bogumiła Berdychowska, Marek Bieńczyk, Krystyna Choloniewska, Agnieszka Dybek, Grzegorz Filip, Tomasz Jastrun, Krzysztof Koehler, Małgorzata Kruszewska, Marta Makowiecka, Tadeusz Nyszek, Agnieszka Pawłowska, Brygida Pütz, Bożena Szymula, Jacek Rujna, Krzysztof Rutkowski, Konrad Tatarowski.
Przegląd Archeologiczny Metafizyki Społecznej „Śmigło” redaguje Zbigniew Sajnóg.
Redaktor graficzny: Donat Chruściński, Marzena Włodarczyk. Korekta: Lucja Andrzejczak, Krystyna Okoniewska, Wojciech Sempka.
Wydawca: FUNDACJA NA RZECZ WYDAWANIA TYGODNIKA LITERACKIEGO
Skład: „PRINT”, Warszawa, ul. Kutnowska 10. Druk ZG „Dom Słowa Polskiego” Warszawa.
Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Adres redakcji: 00-538 Warszawa, ul. Wilcza 1/21, tel. 21-12-79

Zdecydowane rozstrzygnięcie

Jak wiadomo, w czasie ostatniej kampanii wyborczej, szczególnie w pierwszej turze, pojawiły się w prasie zachodniej głosy, iż w Polsce daje znać o sobie antysemityzm. Można by całą sprawę zbyć wzruszeniem ramion. Wiadomo wszak i zostało to powiedziane w sierpniu 1989 roku z całą otwartością, w czyich rękach znajdują się zachodnie środki masowego przekazu. Z drugiej jednak strony taka opinia o Polakach może zaszkodzić Polsce, której należy się bezinteresowna pomoc ze strony międzynarodowej finansjery, która z kolei wiadomo jakiej jest nacji. Pewną rolę w całej sprawie odgrywa również fakt, że adresowany do Narodu Polskiego zarzut antysemityzmu jest nieprawdziwy.

I od tej ostatniej okoliczności chcielibyśmy rozpocząć wykład naszej propozycji uregulowania całości sprawy.

Jak wiadomo, antysemitytami byli hitlerowcy. Głosili oni, że Żydów należy fizycznie zlikwidować i poczynili niemało budując w tym celu specjalne urządzenia, niektóre z nich złośliwie umiejscawiając obok obozów koncentracyjnych, w których cierpieli Polacy. Te hitlerowskie metody nigdy nie były w Polsce aprobowane, a nawet można powiedzieć spotkały się z potępieniem, w zasadzie powszechnym. Nie ma też dziś w Polsce ludzi, którzy postulowaliby wznowienie działania wyżej wspomnianych urządzeń, a zatem nie ma w Polsce antysemitytów! Jakże znamienym faktem jest to, że owym liczny zachodnim dziennikarzom, którzy najechali nasz kraj wężąc za antysemityzmem, nie udało się spotkać a n i j e d n e g o człowieka, który powiedziałby o sobie: **jestem antysemitytą**. A przecież Polacy powszechnie uchodzą za ludzi szczerych, a i sami o sobie są tegoż mniemania. Pora tedy na konkluzję. Czczym wyudumkom, że tam gdzie nie ma Żydów nie powinien się pojawić antysemityzm należy przeciwstawić jasne twierdzenie – **tam, gdzie jak w Polsce nie ma antysemitytów, tam nie ma antysemityzmu!**

Tę oczywistą i bijącą po oczach prawdę należy rozpowszechnić możliwie szeroko. Są bowiem – niestety – Polacy, którzy ulegają złośliwej propagandzie zachodnich gazet i dają posłuch plotom na temat rzekomego antysemityzmu w Polsce.

Uważamy jednak, że nie wolno na tym poprzestać. W trosce o dobre imię w świecie zdobyć się należy na zdecydowane rozstrzygnięcie. Stąd też zwięzły projekt,



JERZY PANEK

który pozwalamy sobie przedstawić ufnie, iż znajdzie on szerokie poparcie w Polsce a także za granicą i co rychlej w życie wprowadzonym będzie.

1. Należy tedy postanowić ilu jest Żydów w Polsce. Uważamy, iż liczba 268 376 jest najwłaściwsza i powinna być stałą (tzw. stała żydowska).

2. Liczba ta wedle odpowiedniego rozdziałnika winna być rozmieszczona we wszystkich gminach kraju bez wyjątku, choć w proporcji do obszaru każdej gminy.

3. Po otrzymaniu należnego jej przydziału Żydów specjalnie powołane w tym

celu gminne organizacje obywatelskie ustalą kto jest Żydem, nie przekraczając przy tym wyznaczonej kwoty, ale też ściślej ją wypełniając.

4. Za Żyda uznany być może każdy obywatel polski niezależnie od płci, wieku i przynależności związkowo-politycznej, pod warunkiem, że mieszka oraz zameldowany jest na terenie danej gminy i nie jest dodatkowo obywatelem innego państwa.

5. Ustala się dwie kategorie Żydów: a) Żyd całkowity; b) Żyd dożywny (tzn. skartabellat żydowski). Dzieci Żydów całkowitych są Żydami, dzieci Żydów dożywnych Żydami nie są. Małżonki Żydów całkowitych są Żydówkami. Małżonki Żydów dożywnych mogą zostać z tego obowiązku zwolnione. Gdyby jednak w danej gminie ogólna liczba Żydów uległa zmniejszeniu, wówczas vacaty wypełniają w kolejności alfabetycznej żony Żydów dożywnych. Natomiast zgodnie z zasadą, iż prawo nie działa wstecz, za Żydów nie mogą być uznani rodzice żadnej z dwóch grup.

6. Proporcje Żydów całkowitych i dożywnych w danej gminie ustalane są na poziomie gminy (wynika to z nadrzędnej zasady priorytetu samorządu), z tym że Żydów dożywnych nie może być więcej niż 37,5% ogólnej liczby Żydów w danej gminie.

7. Przepisy dotyczące pożywienia Żydów (zakazy i nakazy) stanowią gminne organizacje obywatelskie o których mówi punkt 3. O ewentualne ponowne rozpatrzenie tych przepisów w danej gminie wystąpić może prezydent na wniosek ministra rolnictwa, w zależności od stanu pogłowia trzody chlewnej.

8. W przypadku gdy Żyd dożywny bierze udział w kampanii wyborczej, polemizując z nim wolno nazywać go „mośkiem”; wszelkie inne określenia będą karane kartkami żółtymi i niebieskimi. Posiadacz 27 żółtych i 17 niebieskich kartek może zostać radnym niezależnie od wyniku głosowania.

9. Ograniczenie, o którym mowa w punkcie 7, nie odnosi się do polemik z Żydami całkowitymi.

10. Żydzi (bez rozróżnienia) posiadają, rzecz jasna, wszystkie prawa obywatelskie. I tak naprzykład na każde 200 tysięcy Żydów w kraju mogą oni mieć

w rządzie jednego ministra lub dwóch wiceministrów, dwóch profesorów wyższych uczelni, jednego adwokata, jednego podpułkownika lub dwóch kapitanów. Każda rodzina żydowska może posiadać lodówkę typu „Śnieżka”, pralkę zwykłą oraz czteroletniego fiata 126 p lub trzyletniego fiata bis. Małżonki Żydów dożywnych mogą nabywać nowe fiaty 126 p, z tym, że zostaną one (samochody lub żony) przemianowane na fiaty 126 ż.

11. Żydzi zarówno całkowici jak i dożywni mogą się swobodnie poruszać po całym województwie i meldować czasowo w każdej gminie danego województwa pod warunkiem, że utrzymana zostanie ogólna liczba Żydów ważna dla województwa. Przeniesienia międzywojewódzkie regulują sejmiki gmin.

12. Pełnoletnie dzieci Żydów dożywnych mogą ubiegać się o zajęcie miejsca w liczbie Żydów. W przypadku pierwszego dziecka podanie jego rozpatrywane będzie przez sejm; gdy kolejne dziecko tego samego Żyda dożywnego wyraziło analogiczne życzenie, wniosek taki rozpatrywać będzie Zgromadzenie Narodowe.

Zdajemy sobie sprawę z pewnych mankamentów powyższego projektu. W szczególności nie rozwiązuje on dwóch dość ważnych spraw.

Przed wszystkim, ilu dentystów-Żydów może przypadać na każde 200 tysięcy Żydów w Polsce. Wydaje się, że nie więcej niż trzech i nie mniej niż jeden, choć to ostatnie jest, być może, dyskusyjne.

Po drugie, co robić z ludźmi, którzy mówią o sobie, że są Żydami i twierdzą, że się tego nie wstydzą. Oczywiście jakkolwiek rozstrzygnięcie byśmy tu przyjęli nie może ono, pod żadnym pozorem, uszczuplać praw gminy w omawianym zakresie. Wiodło by to bowiem nieuchronnie do anarchizacji życia i podważenia zasadniczego fundamentu naszej kultury, o co, być może, niektórym z tych osobników chodzi. Wydaje się, że po zbadaniu wyżej wymienionych przez specjalną komisję psychiatryczną (przy premierce? przy psychiencji?) można niektórym z nich przyznać prawo do ubiegania się o status Żyda dożywnego. Baczyc przy tym pilnie należy, by nie doprowadzić do powstania kategorii Żydów nadliczbowych.

Leopolda

23.XII.90

„...Cóż więcej?” „Kalendarza.” „A jakiego?” „Co by Uczył, czy będą u nas i jakie choroby W tym roku; jeśli pokój czy będziem mieć wojnę, Czy głód, czy urodzaje obaczemy hojne?” „Jest mały kalendarzyk.” „Ten... to zdrajca, który Poodzierał szlacheckie nazwiska ze skóry, Co nigdy nie napisał, aż mię serce boli! Lubom za przywilejem wendeński podstoli. Będę się, chyba że mię śmierć ze świata zdejmie, Publicznie procesował za wzgardę na sejmie, By mi go zerwać przyszło...” Tak po targu sprzecznym Dawszy tyńfa rudego z mieczem obosiecznym, Poniósł bibliotekę na ładunek głowy: Receptę do dryjakwi i kalendarz nowy.

/Adam Naruszewicz,
Sklepik z księgami na Farskiej ulicy/

Jak widać z wiersza Naruszewicza, kalendarz zawsze był drukiem szczególnym. Mówił nie tylko o dniach, tygodniach, miesiącach, ale też wróżył, jakie te dni będą. I chodzi nie tylko o oznaczenie poniedziałku czy wtorku, ale na przykład określenie, czy pierwszemu dniu maja patronować będzie św. Józef, czy awangarda klasy robotniczej.

Leży przede-mną kalendarz-zdrajca. Niby jest na rok 1991, a przecież od co najmniej półtora roku nieaktualny. Niby wschody i zachody księżyca wyznaczono prawidłowo, jego kwadry odmierzone akuratanie, ale „poodzierał szlacheckie nazwiska ze skóry”, a innym nieprawnie szlachetności przydał.

Ow produkt wydawnictwa „Książka i Wiedza” nabyłem nie na Farskiej ulicy, ale w najbliższym kiosku. Bez targów dałem zań 7 tysięcy, uznawszy rozsądnie, że za 370 kartek to nie tak wiele. Na rewersie „Kalendarza

Ad calendae Graecas

powszechnego na rok 1991” jest instrukcja obsługi (jak zawiesić ów papierowy czasomierz na ścianie) i uwaga, że w razie usterek technicznych egzemplarz można wymienić. Ani słowa natomiast o usterekach ideologicznych, choć tych co niemiara. Nabyłem bowiem zupełnie przypadkiem jeden z ostatnich relikwów jawnej komunistycznej propagandy w najlepszym stylu zarówno przetrwanej, jak właśnie skończonej dekady.

Jakie mamy tu informacje? Weźmy na przykład dzień 5 stycznia. Awers: wschód słońca 7.44, zachód 15.38; wschód księżyca 22.09, zachód 9.49. Sobota. Imieniny Hanny (?), Edwarda, Emiliana, Telesfora. 1946 – inauguracja roku akademickiego w nowo otwartym Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Rewers: notatka encyklopedyczna sygnowana M.M. o chwalebnej historii PPR, która w 1943 roku ocaliła kraj, gdy „siły prawicy podjęły próbę rozpętania wojny domowej”.

Kalendarz odmierzy wschodni czas nie tylko przepływem dni, ale i godzin. I tak Dzień Zwycięstwa święci nam się 9 maja. Kapitulacja III Rzeszy została podpisana 8 maja w nocy – przed północą wedle czasu Greenwich, po północy według moskiewskiego. Kalendarz na rok 1991 odmierza w dalszym ciągu czas moskiewski.

Dwa następujące po sobie dni 17 i 18 maja poświęcono osobie Juliana Marchlewskiego. Umieszczenie w polskim kalendarzu postaci Quislinga z 1920 roku, -Usymbolu narodowej zdrady, już wydaje się być niedeli-

katnością. Poświęcenie mu zaś rekordowej ilości miejsca jest po prostu ponurą kpina. Zegar odmierzający czas moskiewski tyka w najlepszym.

Nie warto się pastwić nad redakcją i wytykać palcem kogo nie uhonorowała notą na rewersie. W końcu sprawa wyboru powinna być przez każdego redaktora rozważona we własnym sumieniu. Wydaje się jednak, że umieszczanie siłą rozpędu, bez żadnej selekcji wszystkich większych i mniejszych komunistycznych świętych, którzy zdobili nasze kalendarze przez dziesiątki lat, z całkowitym pominięciem ludzi, którzy w encyklopediach znaleźli się mocą własnych zasług a nie numeru legitymacji partyjnej, jest świadectwem nie tylko lenistwa, labilności, niekompetencji, ale i złej woli. Święty to (a jakże przy tym nieświeży) przykład ideologicznego przemysłnictwa skompromitowanej utopii i jej bohaterów. Działanie nieprzesadnie nachalne, masą tabulettae tego kalendarza są bowiem gwiazdy, mierzenie czasu, kamienie szlachetne, stresy, alkoholizm, urządzanie ciasných mieszkań i wywabianie plam. Ale konsekwentne.

Wśród pereł biograficznych i ciekawostek przyrodniczych znalazłem – pod datą 13 kwietnia – aforyzm J. Billingsa, który dedykuję wszystkim, którzy dobrze zarobili na wydanych w 1 milionie egzemplarzy produkcie „Książki i Wiedzy”:

„Doświadczenie powiększa naszą mądrość, nie zmniejsza jednak naszej głupoty”. Szkoda, że wielu doświadczonych tak bardzo lubi oglupiać również bliźnich.

Marek Karpiński